

RODZINA POLSKA

MIEŚCZNIK ILUSTROWANY



ALEKSANDER BORAWSKI. PRZYMIERZE IZRAELA Z SZATANEM.

WARSZAWA

ROK VII

<http://rcin.org.pl>

WRZESIEŃ—1933

NIEDZIELA MISYJNA SIĘ ZBLIŻA!

Materiał cenny do kazań, referatów i pogadanek misyjnych zawierają książki:

PODRÓŻ MISYJNA DO AFRYKI: Ks. A. Majewski.

Barwny, pięknym stylem skreślony, opis podróży na misje wśród pogan w Afryce podzwrotnikowej. Każde słowo tchnie gorącym umiłowaniem wielkiej sprawy misyjnej. Zdrowy humor i liczne opisy ciekawych scen sprawiają, że każdy bierze tę książkę do rąk z prawdziwą przyjemnością.

Str. 172, cena 3 zł.

CZTERY LATA WŚRÓD MURZYŃÓW: Ks. A. Majewski P. S. M.

Autor opisuje nam swą pracę misyjną wśród murzynów w Kamerunie w ciągu czterech lat. Widzimy więc misjonarza w szkole i w kościele, w podróży poprzez lasy dziewicze i dżungle afrykańskie, przy nauczaniu i bliższym pożyciu z murzynami. Patrzymy z bliska na radości i smutki misjonarza, na czyhające na niego z różnych stron niebezpieczeństwa, oraz na plon jego ofiar i pracy.

Liczne ilustracje. — Str. 116. W oprawie 5 zł.

ŚWIAT MURZYŃSKI: Ks. A. Majewski P. S. M.

Książka ta stanowi ważną pozycję w dorobku ludoznawczym. Wprowadza nas w bardzo ciekawe tajniki świata murzyńskiego centralnej Afryki. Napisana jest pięknym, swobodnym stylem i stanowi przemiłą lekturę.

Str. 116. Liczne ilustracje, cena zł. 3.70.

PIUS XI, PAPIEŻ MISYJ: O. Ledrus T. J.

Czem są misje, jakie są nasze względem nich obowiązki, w jakim kierunku mają się rozwijać i jaki ich cel ostateczny, oto zagadnienia, które przed nami rozwija Namiestnik Chrystusowy na ziemi. Posłuchajmy Jego głosu i odpowiedzmy wezwaniu Chrystusowemu, które dotyczą nie samych tylko misjonarzy, ale i nas wszystkich.

Str. 28, cena 30 gr.

ZA MAŁO ŻNIWIARZY: O. Paweł Manna.

Książka napisana przede wszystkim dla młodzieży i to z młodzieńczą werwą, choć autorem jest długoletni misjonarz z Seminarjum Misyjnego w Medjolanie. Przedstawiony jest całokształt sprawy misyjnej ze specjalnym podkreśleniem godności powołania do stanu kapłana-misjonarza.

Str. 272, cena zł. 2.40.

Zamawiać pod adresem:

Wydawnictwo Księży Pallotynów
Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71

CZYTAJcie I Rozpowszechniajcie Miesięcznik „RODZINA POLSKA”

TRZY NOWE KSIĄŻKI NA CZASIE:

Królowa Jadwiga na Wawelu, opracował Aleksander Borawski, b. kustosz zbiorów na Wawelu.

Jest to rzut oka na większą naszą królowę na podstawie pamiątek, jakie po Niej się znajdują na Wawelu. Tekst zdobi 30 ilustracji.

Cena zł. 1 —

Róże i lilje, opowiadki dla młodszej i starszej dlatwy, napisał ks. Alojzy Majewski P. S. M.

Znany autor, długoletni redaktor „Małego Apostoła”, przygotował w tej broszurce prawdziwą „ucztę” dla rzeszy swych stałych czytelników, oraz ich kolegów i koleżanek.

Cena 60 groszy.

Kasztelaniec, obrazek historyczny z życia św. Stanisława Kostki, napisała Zofja Topińska.

Jest to utwór sceniczny przedstawiający w trzech aktach życie św. Stanisława Kostki w Rostkowie, Wiedniu i Rzymie. Teatry amatorskie, zwłaszcza zespoły młodzieży, z pewnością utwór ten powitają z radością.

Cena 1.50 zł.

ZAMAWIAĆ

w **Wydawnictwie Księży Pallotynów**,
Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71.

Najmilszem pismem dla dzieci jest
MAŁY APOSTOŁ
Dziecko, które dostaje go raz do ręki, staje się jego wiernym przyjacielem.
Niska prenumerata, 1,70 zł. rocznie, umożliwi jego czytanie wszystkim. Pożytek wielki.
Zamawiać pod adresem:
Mały Apostoł Warszawa
Krak. Przedmieście 71.

Dnia 25 lipca b. r. odbyło się w Pocztowej Kasie Oszczędności XVIII losowanie książeczek na premijowane wkłady oszczędnościowe serji II.

Po zł. 1000 — wylosowały następujące NN-ry książeczek:
50.012 52.470 53.132 53.966 54.563 55.102 55.176 55.717 55.850 56.121
56.421 56.613 56.905 57.207 57.579 57.591 57.727 57.761 57.842 58.320
58.641 58.833 58.895 60.029 60.285 60.489 60.957 61.040 61.156 61.922
62.291 63.889 64.328 65.051 65.343 66.085 67.764 68.147 68.236 68.424
68.483 68.662 69.210 72.074 72.309 72.331 73.098 73.543 73.809 74.793
74.832 75.136 75.247 75.357 75.560 75.592 75.704 76.237 76.359 77.264
78.454 80.417 80.685 81.299 82.113 82.225 82.642 83.949 85.768 85.904
87.575 87.623 88.803 89.400 89.680 90.238 90.622 90.660 91.288 91.366
91.500 91.639 91.705 92.571 92.771 93.597 95.876 96.171 96.349 96.717
97.075 97.508 99.089 99.436 99.562 100.398 100.915 101.268 101.363 101.416
101.910 102.343 103.861 105.011 105.052 105.327 106.732 106.754 107.396
107.630 108.421 108.772 109.444 110.808 110.914 111.281 111.382 112.271
112.437 112.440 112.614 113.469 113.600 114.380 114.718 114.753 115.203
115.402 116.609 116.677 116.937 117.981 118.051 118.312 118.603 118.716.

Książeczki dawniej wylosowane a dotychczas nie podjęte NN-ry: 86.972 102.501 102.907 112.495 118.809.

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — zł. 700, 1/2 — zł. 380, 1/4 — zł. 200, 1/8 — zł. 120, 1/16 — zł. 70, 1/32 — zł. 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOŚI:

ROZCZNIE:

Polska	zł. 7	Czechosłowacja	kor. cz. 40
Niemcy	R. mk. 5	Ameryka	dolary 1.50
Francja	frank 25	Inne kraje	fr. szw. 7

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3.50 zł.; KWARTALNA — 2.00 zł. Cena POJEDYŃCZEGO nru. — 70 gr.

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak. Przedmieście 71.

Telefony Administracji: 240-15 Redakcji 436-18, P. K. O. 14.664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 3—5 po poł. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

RODZINA POLSKA



MIESIĘCZNIK
LUSTROWANY



ROK VII. WARSZAWA, WRZESIEŃ 1933.



J. Eminencja Ks. Kardynał Aleksander Kakowski.

JEGO EMINENCJA KS. KARDYNAŁ KAKOWSKI

J. Eminencja Ks. Kardynał Kakowski obchodzi 14-go września r. b. dwudziestolecie swych rządów na stolicy arcybiskupiej.

W ciągu lat blisko pięćdziesięciu kapłaństwa, oddawał ofiarnie wszystkie najlepsze siły i całe swe czułe serce Ojczyźnie, Kościołowi i Bogu. Szczególnie okres ostatni jego działalności na stanowisku arcybiskupa stolicy kraju, to czasy wyjątkowej, odpowiedzialnej i trudnej pracy dla dobra Kościoła i narodu. Warszawa szczęśliwa i dumna być może i powinna, że zrządzeniem Opatrzności tak wielkiego ma duszpasterza.

Wczuwa się głęboko w potrzeby duchowe stołecznego grodu, wsłuchuje się w rytm jego życia, zawierający przecież w sobie wszystkie nurty duchowe kraju, wzmagające się i potęgujące w czasach przełomu. J. Em. Kardynał Kakowski okazał się też osobistością zdolną szczęśliwie i owocnie podołać wielkim zadaniom chwili, w której wśród oparów krwawych wojny, wśród jęków wywołanej przez nią nędzy ludzkiej jak prawdziwy mąż Boży, dźwignął na barkach wiązania powstającej do nowego bytu państwowości polskiej. Spada nań trudna i odpowiedzialna rola członka Rady Regencyjnej, pierwszej instytucji rządowej w Polsce odradzającej się z niewoli. Poparty uznaniem Episkopatu, wzmocniony aprobatą Głowy Kościoła Benedykta XV, wstępuje arcybiskup warszawski do Rady Regencyjnej i jest, jakby interrexem, godnym odnowicielem funkcji prymasów Polski.

Papież przysłał mu wkrótce breve z wyrazami współczucia dla cierpiącej pod ciosami wojny Polski i zapowiedział w uznaniu jego zasług na polu politycznym, a zwłaszcza kościelnym nadanie arcybiskupowi warszawskiemu godności kardynała.

Trzeba tu podkreślić trudną, a doniosłą rolę jaką arcybiskup stolicy wobec okupantów, nie cofających się przed bezprawiem i krzywdą narodu czy Kościoła. Z siłą i godnością, a jednak bez stwarzania jakiegos napięcia, broni metropolita warszawski praw Kościoła, oręduje sprawom Polski z jak najlepszym zawsze skutkiem. Ta znakomita umiejętność realnego, a przecież pełnego godności ustosunkowania się do władz, to jedno ze znamion wybitnego charakteru hierarchów i administratorów kościelnych.

Nie mniejsze zalety wykazuje jako ordynariusz i w związku ze zmienionymi po wojnie stosunkami, reorganizator życia kościelnego w kraju i diecezji.

Jedną z jego pierwszych trosk, której zaspokojeniu wiele poświęcił wysiłków, była sprawa uregulowania stosunków Kościoła do państwa. Sprawa ta wyjątkowo szczęśliwie napotkała okoliczności.

Pius XI, pierwszy nuncjusz w Polsce niepodległej, który sakrę biskupią otrzymał z rąk J. Em. Ks. Kardynała Kakowskiego, niewątpliwie pobudzał i sprzyjał pracom nad konkordatem z Polską, rychło też doprowadzonym do skutku.

Obok tego J. Em. gorliwie zajmuje się kojeniem ran, zadanych Kościołowi przez wojnę. Zabiega więc przede wszystkim o odbudowę świątyń i kaplic zbombardowanych i zniszczonych w zamęcie walk.

Również i samo życie katolickie wymagało podniety i pobudki, do czego znakomicie przyczyniły się dwa zjazdy katolickie w Warszawie, zorganizowane dzięki staraniom J. Em. Ks. Kardynała Kakowskiego.

W orędziu pasterskim, ogłoszonym w dniu 3 maja 1919 roku pisze tak w sprawie praw i przywilejów religij w Konstytucji:

„Religia katolicka jest religią tak olbrzymiej większości, że bezwzględnie przysługiwać jej winien tytuł religii państwowej... Mamy prawo domagać się, ażeby orzeczenie Konstytucji 3-go Maja, odnoszące się do stanowiska katoli-

cyzmu, przeniesione zostało dosłownie do tworzącej się obecnie Konstytucji odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej. Sprawa to wielkiej wagi dla przyszłego rozwoju Polski... Baczycie trzeba, by naród nie postawił kroku, któryby losy państwa polskiego i jego historję sprowadził na bezdroża”.

W orędziu, ogłoszonym z okazji powszechnego zjazdu katolickiego w stolicy, wzywa wszystkich do czuwania i zabiegania w izbach ustawodawczych, aby oprzeć na fundamencie wiary i na przepisach etyki chrześcijańskiej budowę gmachu przyszłej naszej państwowości, a więc rodziny, prawodawstwa, szkolnictwa, sztuki, wychowania i obyczaju narodowego.

Sprawy duszpasterskie oraz kwestje organizacji kościelnej nie mniejszy znalazły oddźwięk u J. Em. Ks. Kardynała.

W roku 1922 zwołuje synod diecezjalny celem kodyfikacji ustawodawstwa partykularnego, obowiązującego w archidiecezji warszawskiej. Uchwalono tam wiele nowych postanowień, zgodnie z nowym kodeksem prawa kanonicznego. Ponadto J. Em. zorganizował mniejsze seminarjum oraz powołał do życia cały szereg nowych placówek parafjalnych. Na zabudowujących się przedmieściach Warszawy w ostatnich kilkunastu latach J. Em. Ks. Kardynał Kakowski utworzył około 20 parafij.

Czyż trzeba dodawać, że ten systematyczny pod kierunkiem J. Em. pochód kapłanów na przedmieścia Warszawy, to najlepsze przeciwstawienie się niebezpieczeństwom agitacji komunistycznej i wogóle wyrotowej.

Troska o najszersze rzesze wiernych, o maluczkich, upośledzonych i wydziedziczonych, to niewątpliwie jedna z najznamienniejszych cech działalności arcybiskupa stolicy. Troska ta towarzyszy mu od pierwszej chwili jego trudom na stolicy biskupiej. W czasach wojny była pobudką do akcji jałmużniczej i dziś — jak ongiś nie mniej zreszlą ożywionej, rozległej i poważnej a ujętej w karby związku „Charitas”. W liście pasterskim, poświęconym tej sprawie czytamy: „Jeśli pomoc nie przyjdzie na czas, przyjdą do tych nędzarzy ludzie przewrotni, fałszywi prorocy, którzy falę bólu, rozpacz i nienawiści, dobywającą się z serc rzesz zubożałych i cierpiących, obrócą przeciwko stawidłom porządku społecznego i państwowego”.

Po zobrazowaniu tej groźby i grozy przewrotu społecznego, jaką może spowodować nędza ludu, przechodzi dostojny autor do nakreślenia jego potrzeb duchowych:

Pieniędzmi — mówi J. Em. — można nasycić głód fizyczny, ale jest głód moralny, są potrzeby i rany duszy których pieniędzmi nie ukoimy, ani nie wyleczymy”.

Dla zaspokojenia potrzeb dusz ludzkich w sposób odpowiadający wymaganiom naszych czasów, rozwija Akcję Katolicką.

W ostatnich czasach przystąpił do budowy monumentalnego gmachu centralnego dla Akcji Katolickiej i pokrewnych organizacji oraz dla zjazdów katolickich z całej Polski. Gmach ten jest wspaniałym pomnikiem-testamentem, wskazującym jak należy organizować życie katolickie.

Sprawa rozwoju prasy katolickiej i piśmiennictwa wogóle, to także jedno z pierwszorzędnych zadań, które podjął i wypełnia J. Em. Zjazd katolickich pisarzy, zwołany z jego inicjatywy, był manifestacją żywotności piśmiennictwa katolickiego odradzającej się Polski.

Wielki ten książę Kościoła zaznaczył się wybitnie na całokształcie życia katolickiego i narodowego całego kraju, ożywił i wzmógł jego tętno, stworzył nowe dzieła i instytucje, których owoce zbieramy dziś i zbierać długo będą przyszłe pokolenia.

To też wdzięczne społeczeństwo katolickie przygotowuje się do złożenia znakomitemu i dostojnemu Jubilatowi uroczystych życzeń dalszego i pomyślnego żywota dla chwały Boga, Kościoła i Ojczyzny

JAN KYRIOTES,
zwany Geometrą, poeta bizantyński z w. X.

J. BLECHERT

H Y M N

KU CZCI

NAJŚWIĘTSZEJ PANNY MARJI

*Laskiś pełna, Dziewico łaskawa, łaski Rodzico,
Pocieszycielko rodziców, niebios pociecho i ziem!*

*Rada bądź nam, radosna radości wszelkiej krynico,
czysta Dziewico i Matko, bólem nietknięta i złem!*

*Witaj, Osłodo frasunku, Ratunku od sidła szatana,
Matko czystości, co wspólnie niesiesz wolności
nam blask!*

*Witaj, plenna Ty glebo, filarze ziemi i nieba,
prawdy i prawa Władczyni, szczęścia Dawczyni
i łask!*

*Witaj, rodu ludzkiego podpora i cnoty obfitej,
niepokalanie poczęta Córko, zdobiąca cny ród!*

*Witaj, Darze, mądrości i Matko najmiłsza! Zawitaj,
nienaruszona Matko, Panno wstawiona przez
plód!*

*Witaj, napoju, co kosisz cierpienia wszelkie, ból każdy,
źródło wiecznego żywota, zdrowie mający za
treść!*

*Witaj, drabino Jakóba, co sięgasz pod niebo i gwiazdy,
która ludzi do Boga, Boga do ludzi masz wieść!*

*Witaj, światłości śmiertelnych, pożogo straszliwa dla
piekła,
która, nierozniecana, plonie i płomień wciąż śle!*

*Witaj, Harmonjo sprzeczności, gdzie Bożą naturę
oblekła
ludzka śmiertelna natura: rzekłbyś, że siła to —
w źdźble!*

*Witaj, krzaku ognisty, niezwiędły wśród żaru, gorąca,
owszem, bujnemi liśćmi rozwijający się wzwyż!*

*Witaj, niebios Pochodnio, przejasna Tarczo miesiąca,
która w spotkaniu ze Słońcem jeszcze wspania-
lej lśnisz!*

*Witaj, nowy Rydwanie słoneczny, promienny i chyży,
żywym ciągniony zaprzęgiem czterech ognistych
cnot!*

*Witaj, Stolicu niebios, przepiękna, wzniesiona powyżej
wszech Serafinów, Cherubów, nad Tronów po-
tęgę i cud!*

*Witaj nam, Oblubieńca Zwiastunko, Syna i Boga,
która szatę szkarłatną przygotowałaś dlań!*

*Witaj, po dwakroć szczepiona winnico, żyzna, prze-
błoga,
która z ludzkiej natury Bóstwu złożyłaś dań!*

*Witaj Ty, co zrodziła Rodzica, co miałaś za Syna
Stwórcę i Władcę świata, dawszy na ziemię Mu
wstęp!*

*Ty, co Niezmierzonego objęłaś Swem łonem — jedy-
na! —
w stajni Mądrość ukryłaś, Klejnot spowiłaś w
strzep!*

*Witaj Ty, co żywiłaś Szafarza żywności! Promienna
piersz Twa jedną z Trzech osób Boskich syciła
jak zdroj.*

*Witaj, muszlo Ty morska, co perłę zrodziłaś bezcenną,
w krwawej skąpaną krynicy, w blasków odzia-
ną strój!*

*Witaj, Jedyne, której niebiosy służą wspaniale,
która zaraz po Stwórcy idziesz w świętości swej!*

*Witaj, o witaj, Królowo łaskawa, litosna!... i chwałę
nawet z ust naszych grzesznych przyjąć życzi-
wie chciej!*

Przełożył Józef Birkenmajer.

PROGRAM I USTRÓJ SZKOLNY

Szkolnictwo Polski odrodzonej ma do rozstrzygnięcia dwa kapitalne zagadnienia: 1) to sprawa ustroju, 2) wiążąca się z tem sprawa programu i metod nauczania.

Sprawa ustroju szkolnictwa i programu nauczania wiąże się ściśle z zadaniami nowopowstałej naszej państwowości. Szkoła ma przygotowywać kadry obywateli o pewnym, jednolitym typie kulturalnym, ma w drodze stosownej selekcji dać społeczeństwu elitę kierowniczą.

W związku z tem wysuwa się dziś hasło szkoły jednolitej, która tworzyłaby mocną, powszechną podbudowę życia kulturalnego społeczeństwa, pozwalając należycie scharmonizować wszystkie jego elementy i zaspokoić potrzeby.

Postulat jednak szkolnictwa jednolitego przyjęty być może przez nas z dwoma zastrzeżeniami. Pierwsze jest natury ogólnej, programowej, drugie organizacyjnej.

Co do pierwszego zastrzeżenia, nie należy zapominać o tem, jakie tendencje towarzyszą w innych krajach hasłu szkoły jednolitej. We Francji np., według J. Mora, pod postacią szkoły jednolitej dąży się do stworzenia monopolu nauczania państwowego w duchu laicyzmu. Najzagorzalszym jego zwolennikiem jest socjalista Herriot. W ten sposób pojęcie szkoły jednolitej jest wymierzone w szkolnictwo prywatne, przeważnie wyznaniowe, zwłaszcza katolickie. W ściślejszym zarysie zasada szkoły jednolitej oznacza 1) bezpłatność, nauczania na wszystkich stopniach szkolnych, 2) udzielanie przez państwo dyplomów nauczycielskich również i w szkołach prywatnych, 3) kontrolę programów wszystkich szkół, 4) zniesienie nauki religijnej.

Nie ulega wątpliwości, że w takim ujęciu hasło szkoły jednolitej musi być kategorycznie zwalczane przez katolików, gdyż wiedzie ono pod różnymi postaciami do socjalizacji szkolnictwa. Katolicy francuscy ze wszystkich sił przeciwstawiają się też szkole jednolitej.

Gen. Castelnau na łamach „L'action catholique de France“, nr. 710, powiada: „Jestem przeciwnikiem takiej szkoły, która godzi w prawo rodziców. Dzieci należą do rodziców, a państwo powinno im służyć, a nie gnębić“. Gen. Castelnau przeciwstawia się również idei bezpłatności nauczania, oraz mechanicznej selekcji młodzieży przez państwo.

Widzi on w obu tych zasadach czynnik demoralizujący, pole liczących nadużyć i niesprawiedliwości. Niema żadnej racji do uprzywilejowania jednostek przez udostępnienie kariery naukowej. Jeśli nawet Herriot w swej mowie z 11 maja 1930 r. opowiedział się za wolnością nauczania, to czynniki wspomniane powyżej w tę wolność godzą. Oczywiście, to oświadczenie Herriota ma wartość względną. Z właściwą umysłem, wychowanym na doktrynie materialistycznej — zdolnością do zacierzenia doktrynerskiego, ma on na myśli wyłącznie usunięcie ze szkoły religii, jako rzekomo jedynego czynnika, godzącego w wolność nauczania.

Co do kwestji bezpłatności, to zagadnienie to w dobie obecnego kryzysu nabrało u nas wielkiej wagi. Mówi się o tem, że blisko 600.000 dzieci nie znajdzie miejsca w szkole, ponieważ państwo nie jest w stanie podać ciężarowi tak szeroko rozbudowanego szkolnic-

stwa. Jakkolwiek więc ideałem jest szkoła o wyższym programie, to jednak zdrowy rozsądek wskazuje na konieczność planowego, stopniowego wykonania tego zadania. Już i tak pokolenie obecne będzie miało wielką zasługę przed przyszłością, jeśli zdoła, poświadczmy, przy pomocy powszechnej szkoły pięcioklasowej wytepić w Polsce analfabetyzm. Stosując się do naszych możliwości społeczno-gospodarczych — buduje naprawdę groble wedle stawu.

W realnem ujmowaniu polityki oświatowej i szkolnej państwa niema miejsca na żadne eksperymenty, do których nie dorosło ono ani finansowo, ani kulturalnie. Dziś mamy, dzięki niewłaściwemu pośpiechowi w realizowaniu w zasadzie słusznej szkoły jednolitej, z jednej strony deficyt w budżecie, który jest za wielki w dziedzinie szkolnictwa powszechnego, z drugiej strony prowadzi do nadprodukcji inteligencji („ćwierć“ czy „pół“, ale zawsze t. zw. inteligencji, mającej wygórowane ambicje życiowe przy braku kwalifikacji zawodowych).

Socjalizm, wychodząc z błędnego pojęcia równości — nałożył na państwo szkodliwy obowiązek, płynący z zasady, że nauka na wszystkich stopniach jest bezpłatna. Powszechny nie znaczy bezpłatny.

Z tą szkodliwą zasadą, która miast zorganizować, dezorganizuje życie społeczne, trzeba walczyć. Zwłaszcza zaś w momencie kryzysu walkę tę należy przeprowadzić energicznie. Z konieczności więc trzeba zastosować rozumną selekcję w rozwijaniu sieci szkolnictwa powszechnego, zrezygnować chwilowo z integralnego programu i powiedzieć sobie — walkę z analfabetyzmem przeprowadzi również i szkoła pięcioklasowa.

W zasadzie jednak dążenie do jednolitego programu nauczania jest słuszne i winno być fundamentem ustroju szkolnego. Chodzi o to, by, prawdziwie utalentowane jednostki, których potrzebuje społeczeństwo dla rozwoju swego życia kulturalnego, miały możliwość odbycia studjów, niezależnie od swego pochodzenia socjalnego.

Organizacja szkolnictwa powinna więc tworzyć harmonijną całość, tak, by czynniki natury formalnej nie hamowały rozwoju oświaty i spokojnej, swobodnej wymiany sił kulturalnych w społeczeństwie. Wogóle program szkolny winien być bardziej elastyczny, przystosowany do różnorodnych warunków egzystencji narodu i państwa. Inne zadanie ma do spełnienia szkoła w mieście, inne na wsi, inne w centrum, inne na kresach wschodnich czy zachodnich. Nie można te rzeczy ujmować w jeden szablon, nie można, jak to ujmował trafnie prof. Leopold Jaworski, kategorjami myślenia miejskiego brać w kluby — wieś, jeśli nie chce doprowadzić się do katastrofy.

Zapewne, że nad całością wychowania i oświaty winien dominować duch państwowy, lecz formy szkolne muszą być przystosowane do potrzeb lokalnych społeczeństwa.

Jesteśmy zatem zdania, że należy uzgodnić program szkoły powszechnej z programem gimnazjum tak, aby tworzyły harmonijną całość. Szkołą powszechną powinno być progimnazjum. Młodzież, opuszczająca mury szkoły powszechnej, winna być kierowana albo do gimnazjum, jeśli przejawia upodobania i zdolności naukowe, albo do szkół zawodowych, jeśli ma talenty praktyczne.

Karjera rzemieślnicza nie będzie uważana ani za gorszą, ani specjalnie upokarzającą, jak to bywa wskutek sztucznie wzniesionej tamy między niższym i średnim wykształceniem.

Szkoła średnia znów winna tworzyć nietylko celowe, pośrednie ogniwo przygotowawcze do szkół wyższych, ale do pewnego stopnia być samodzielnym studjum, przygotowującym inteligenta do zawodowej pracy.

Stan obecny sprawia, że szkoła średnia uważa się litylko za pepinię uniwersytetu. „Jest wielką maszyną pedagogiczną — jak zauważa Paweł Krzoski (Szkoła jednolita 1930) — wypuszczającą półinteligencję w życie — bez znajomości życia. Wytwarza nadprodukcję inteligencji bez fachu, a skutki złego ponosi naturalnie państwo“.

Jest tu winien nietylko program, ale i metoda nauczania. Widać jednak i w dziedzinie tworzenia „półfabrykatów inteligencji“ szkoła średnia źle się wywiązuje, skoro profesorowie uniwersytetów skarżą się na niskie przygotowanie młodzieży do studjów.

Skargi na złe przygotowanie młodzieży do studjów mają niewątpliwie swe źródło także w tym fakcie, że szkołę traktuje się jako przedsiębiorstwo (mamy tu na myśli niektóre gimnazja prywatne), mające odrzucać możliwie najwyższą dywidendę bez względu na wyniki naukowego przygotowania młodzieży. Ambicja i pieniądze rodziców, zabiegających o karierę dziecka, są źródłem wszystkiego złego (urzędnik — to ideał, może obecne sądy Boże nad uposażeniami urzędniczymi otrzeźwią niejednego).

Pedagog niema tam głosu, o wszystkim decyduje dyrektor-administrator, powolny brzęczącym czy szeleszczącym sugęstjom zatroskanych rodziców. Uczeń jest alfą i omegą „systemu nauczania“ — nauczyciel ledwie stylografem, potrzebnym do podpisania cenzurki „celującej“.

„Zrobi się promocyjkę“ — oto formuła ujęcia problemu szkolnego. Reszta — to znaczy istotne przygotowanie naukowe ucznia — to furda, chodzi o papierek z jego algebrą kwalifikacyjną. Handel świadectwami szkolnymi — to już nietylko proceder nędznych przekupniów nauki, ale i prawdziwych szkodników społecznych, produkujących „papierowa“ inteligencję...

Obroną przeciw temu handlowaniu sumieniem pedagoga, ma być system egzaminów, dorównywujący złem, pierwszemu złu.

Pewien rzetelny pedagog powiedział mi, że każdy niezdany przez ucznia egzamin, to jednocześnie ujemna ocena dla jego profesora. Cóż więc powiemy o naszym nauczycielstwie, jeśli wziąć pod uwagę, że w szkołach powszechnych do 30 proc. młodzieży pozostawia się na drugi rok? Jakież stad straty materialne dla państwa, jakie zahamowanie akcji oświatowej, jeśli weźmiemy pod uwagę, że w Polsce jeszcze blisko 20 proc. młodzieży niema miejsca w szkole powszechnej, a w r. 1935 trzba będzie ulokować aż 6 milionów dziecięcych głów w murach szkół. Albo więc odrazu musimy zrezygnować ze stuprocentowej walki z „analfabetyzmem“, albo też, aby stało się zadość demagogii, produkować na gwałt półanalfabetów czy analfabetów powrotnych. — Oto problem, którego nie rozwiąże się żadnym okrągłym frazesem o powszechności nauczania, problem zaiste tragiczny.

Znamy wszyscy klęskę egzaminów, to łożę Prokru-

sta, na którym bada się według wszystkich reguł katowskiej sztuki uczniowskie rozумы. Wynikiem są hektomby samobójstw i biura poradni dla „spalonych na egzaminach“. (Istnieje takie w Krakowie). Jakież to musiały być duchu przebiegłości, by poradzić coś odrzuconemu przez światło grono profesorskie? Kto bowiem jest mądrzejszy nad oficjalnego pedagoga?

Poco ta cała tragikomedja omyłek, te wymowne dwóje z języka polskiego czy historii, które nic nie mówią o tem, czy zgilotynowany osobnik nie byłby np. świetnym szewcem lub krawcem, albo choćby komiwożerem.

Szablony i tępota rutyna zabiły zdrowy rozsądek.

Zresztą, czyż np. młodzieniec o wrodzonym wstręcie do historycznych dat, ale o wspaniałej wyobraźni poetyckiej, nie zasługuje na świadectwo maturalne, bo ostatecznie nie jest ważne, by człowiek pamiętał tysiąc pozycji historycznych, lecz by jego praca stworzyła jedną choćby najmniejszą pozycję kulturalną.

Zresztą, może przesadzam w ocenie surowości naszych egzaminatorów. Znam pewnego doktora filozofji, nauczyciela języka polskiego, którego „dzieła“ są wprost nieczytelne, takim straszliwym pisane stylem, że wolę odcyfrować palimpsest, niż wgłębiać się w treść jego pism, nawet wtedy, gdy autor ma w nich rację. Co robili „światli“ augurowie nauki, gdy podpisywali takiemu panu dyplom i veniam legendi? Co za spustoszenie musi czynić w umysłach dzieci taki „pedagog“?

Lecz któż o to będzie się troszczył? Nasze ciała profesorskie — to coraz częściej albo karierowicze — urzędnicy, albo służalcy partyjni, nieraz wręcz fanatyczni.

Jedni wyczekują tylko pierwszego, by odebrać pensję — dla młodzieży mają niechęć, lub pogardę, przeklinają swój „zawód“ i tylko brak innych możliwości — trzyma ich w szeregach nauczycielskich. Z ich grona mamy tych wszystkich usłużnych podpisowaczy świadectw za stosownem wynagrodzeniem.

Groźniejszy może od nicgo jest drugi typ nauczyciela-fanatyka, działacza partyjnego. Jego terenem przeważnie wieś — gdzie wykorzystuje on swój wpływ dla celów politycznych na młodzież, którą oświeca i na jej nieoświeconych rodziców. Agitatorowie radykalizmu, ci podpalacze polityczni wsi polskiej, idący ławą ze sztandarami Wyzwolenia czy Str. Chłopskiego — to najczęściej nauczyciel: szkół powszechnych.

Dziś przechodzą oni wraz ze zmienioną konjunkturą polityczną na stronę „legalnej władzy“; stąd te żale i narzekania na wiarołomstwo nauczycieli, na zdradę sprawy ludowej, których pełno w prasie chłopskiej.

Zdaniem naszym, nauczycielstwo stać musi zdala od czynnej polityki partyjnej i nie może dla niej nadużywać swego wpływu i autorytetu, gdyż działa przez to demoralizująco. Nauczyciel jest czynnikiem harmonji społecznej, jest apostołem kultury, nie wolno mu więc być siewcą burzy i zamętów, jeśli ustrój społeczny ma zachować równowagę.

Sprawa jest jasna.

Kilkudziesięciotysięczna armja nauczycielska musi iść solidarnym frontem po linii interesu narodu i państwa, a nie wałęsać się w rozsypce po różnych szajdach partykularyzmu politycznego i zwłaszcza atakować ustrój państwowy i Kościół, ideały narodowe i religijne.

Jest to zasada twarda.



Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

FALA PRACY.

Możnaby powiedzieć, że przez kulę ziemską przelewa się z południa na północ i z północy na południe — szeroka, jak ocean fala. . Fala pracy ludzkiej, szczególnie pracy na roli.

Oto właśnie na północnej półkuli plony pracownicy zebrano, a równocześnie na południowej wszystko poczyna iść ku przyszłym zbiorom. Już praca wiosenna tam wre, srebrzą się czoła kroplami potu... w Afryce, w Ameryce Południowej, w Australji, na wyspach... Podnosi się i wzbiera fala pracy.

Fala pracy! Szeroki i niezbrodzony to ocean, ogromny, bezbrzeżny! —

Podnieśmy żagle i w cichej łódce myśli wpłynemy na jego przestwory! —

Pracuje wszechświat cały. Rozciągnięto wielkie krosna wszechrzeczy i nad skrońmi naszemi wre praca wyteżona, nieustanna, wspaniała. Tkają się błamy błękitu. A pomiędzy zwoje niebieskiej tkaniny snują się bez przerwy, szalonym pędem, oszalałym wiram, niby łódka tkacza, co nie zna spoczynku, promienniejsze nad blask złota gwiazdy.. Od zarania wieków chodzą i w złote kwiaty światów, globów, słońc, planet, w kaskady komet przetykają tę miękką, lotną szatę wszechstworzenia.

Nigdyby nie powstał i nie istniał dla oczu moich ten cud jesiennych wieczorów — lazur usiany gwiazdami bez liku — gdyby zabrakło międzygwiazdnej tej pracy, gdyby zamarła jej fala. Ona umożliwiła powstanie nieba i ziemi, ona wciąż podtrzymuje ich trwanie.

Niewstrzymanym swym prądem ogarniając, porywając gwiazdy i słońca, na ziemię także splywa potężna fala pracy.

Tu już nie potrzebuje nas uczyć astronomja, geometria, matematyka. Doskonale bowiem widzą oczy nasze, jak pracują wody rzek i strumieni, jezior i mórz. Tak swą pracą pilnie zajęte, że kropla za kroplą podąża tuż, tuż, a tak zaśpieszone, że jedna drugą zdaje się wyprzedzać, jedne przed drugie wybiegają falami. Im większe wody, tem zawziętsza praca, tem większe nad nurty spiętrzają się fale. Niecierpliwe, rzekłbyś, natchmiast ujrzeć pragną, co swym trudem dokonały na lądach.

Zaprawdę bowiem, dokonały wiele! Przy pomocy słońca i wespół z gwiazdami wody uruchomiły na świecie warsztat pracy nowej. Oto pod ich działaniem, w jakiś sposób tajemniczy, zakryty dla oczu śmiertelnych, zrywa się do pracy wyteżonej życie trzech królestw przyrody. Pracują rośliny, zwierzęta... ludzie...

Pracują rośliny. Trawy i kwiaty puszystych łąk, zboża łąków chlebných, lasy podniebnych gór i drzewa pól, ogrodów. Bez przerwy, bez wytchnienia pracuje ta armja ssąco-tłoczących pomp — w korzeniach i korzonkach — która z gleby czerpiąc soki przetwarza je w laboratorjach chemicznych pnia i liści na bajkowe wprost cuda roślinności wszystkich stref — od równi-

ka do biegunów. Artyzm niemi się zachwyca, śpiewają o nich poeci..

....Widziałem piękną dolinę przy Kownie,
Kędy ruszałek dłoń wiosną i latem
Sciele murawę, kraśnym dzierzgą kwiatem.
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie...

(Mickiewicz. Grażyna).

„Od spodu zaraz, z mokrej grzęzawiny
Pędem się w górę prą okrutne haszcze
Na rękę grubej, strzelistej w kiść trzciny,
Po której chrząsty brzęczą i ptak klaszcze...
Nad bagnem kwiaty w jaskrawym się pyle
Chwieją i lecieć zdają, jak motyle...

Więc kiedy słońce w te padnie komory,
Przez zieleń sącząc się i szkliva owe,
Dziwnymi blaski grają one bory...

Właśnie, jak kiedy upadną na głowę
Anielskie z okien kościelnych kolory.

One widziały lekkuchne, tęczowe,

W palmy, w gwiazdżice, w róże, jak kiedyby
W niebie zaprawił malowane szyby.

Dopieroż nad tem wrzask, świsty, trzepoty...

Ptak leci — nie wiesz, czy płomień, czy kwiaty,

Bo jeden bywa ognisty i złoty,

A drugi modry, jak nasze bławaty...

(Konopnicka. Pan Balcer).

Pod korą stuletnich drzew, w łądyżce wczoraj rozkwitłego bratka i w krzaku róży pracują i trudzą się niezerównane warsztaty, wspaniałe fabryki, tem cudowniejsze i milsze, że pracują cicho. Nie słychać tam huku młotów, turkotu maszyn, warczenia kół i trybów, nie przerażają ucha zgrzyty i gwizdy śrub ruchomych i pasów.

A jak w pniu roślin, jak w ciele zwierząt, tak samo i w ciele człowieka wre nieustanna praca. Nawet nie wiemy o tem, ani odczuwamy. Pracuje wciąż pompa serca, biją tętna krwi, nie ustaje w swej czynności rafinerja, czy też filtry płuc, niestrudzone jelita zasilają nasz organizm w nowe soki spożywcze.

Fala pracy, nieustannej, nieprzerwanej pracy, bije o brzegi naszego ducha. Poucza go i nakazuje mu pracować.

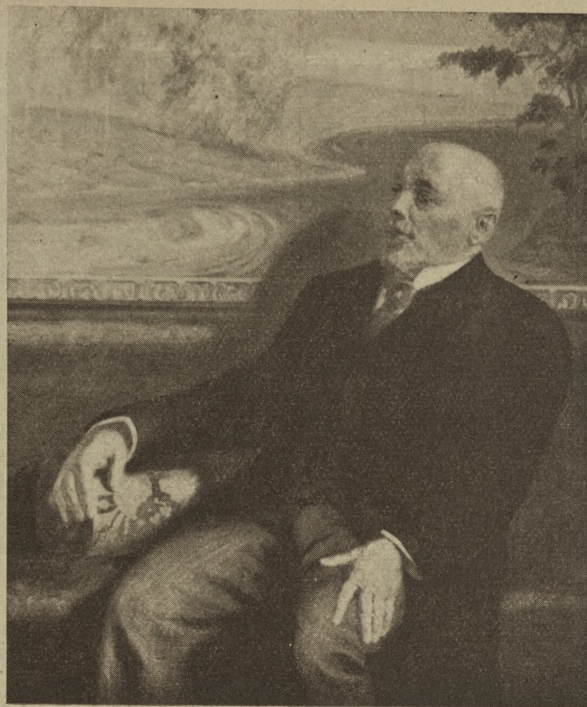
Jakżeż bowiem inaczej?! Siła w wiatrach ukryta pędzi chmury po niebie i sprowadza deszcz urodzajny na po'a i niwy świata, zasila źródła i rzeki — nie marnuje się bezczynnie... Potężne nurty wodne, omotawszy siecią swoją ziemię, przerabiają wnętrza gleby, ścierają i miela na papkę granitowe głazy, dostarczają żywności roślinom — nie próżnują daremnie... A przecież człowiek się chelpi, że w swej duszy posiada siły postokroć wspanialsze i wyższe od siły wicherów i orkanów, czuje w swem sercu nurt życia głębszy od oceanów, a wzloty i porywy ducha mierzy skałą większą, niż ogień słońca i pożary gwiazdnych światów. Jakżeż taka siła, taka potęga miałyby zostać bezczynną! Jak możnaby pozwolić na zmarnowanie siły wiecznej?

Fala pracy nieustannej przelewa się z półkuli na półkule globu, przepływa przez serce, tętna i żyły, ogarnia wszechświat. Niechaj ogarnie także duszę naszą i nieśmiertelne, wszystkie jej siły! —





Aleksander Borawski, artysta malarz i rzeźbiarz.



Adwokat Stanisław Kostrowicki,
mal. A. Borawski.

T O R U Ń

Toruń jest miastem o nazwie nawskroś polskiem, jak świadczy o tem sama nazwa od toru — czyli drogi lub traktu utworowanego, przetartego. Pisze o tem wyraźnie Niemiec Jacobi, pisze Meiche i to już w latach powojennych.

Położony dogodnie na skrzyżowaniu dróg wodnych i lądowych wiodących ku Bałtykowi, Toruń wcześniej stał się ośrodkiem ruchliwego handlu, a więc i źródłem bogactwa mieszkańców. Ale też leżąc na pograniczu, ulegał częstym najazdom, zwłaszcza sąsiednich Prusaków. Dopiero Zakon krzyżacki, o władnawszy na początku wieku XIII słowiańską osadę toruńską, dźwignął na jej zgłiszczach miasto, które datę nadania praw chełmińskich (1233) może uważać za początek swego historycznego istnienia i rozwoju.

Od tej chwili Toruń rozwija się z niesłychanym rozmachem i w niezwykle szybkim tempie. W XIV stuleciu miasto otrzymuje tak zwane „prawo składu”, przywilej dla rozwoju Torunia niezmiernie doniosły i cenny, niebawem też zdobywa się na własną morską flotę handlową.

Walka miasta z uciskiem rządzących w niem krzyżaków, liczne zatargi z mistrzem, pożary, spalenie zamku krzyżackiego, wypowiedzenie posłuszeństwa Zakonowi i poddanie się Polsce 23 maja 1454 r., kiedy przybył tu wraz z małżonką Kazimierz Jagiellończyk i odebrał hołd poddańczy. Od tej daty aż do rozbiorów Pomorze wraz z Toruniem weszło w skład Rzeczypospolitej na stałe. Coprawda wkrótce wybuchła wojna 13-letnia, zakończona przez pokój toruński (1466), którego mocą odebraliśmy Pomorze wraz z Gdańskiem i Warmię. W roku 1473 przyszedł tu na świat Mikołaj Kopernik — „Thorunenis terrae motor solis coelique stator” — jak głosi napis.

Królowie polscy nadają Toruniowi szereg przywilejów. Świadczy o tem wzrost ludności, rozwija się ruch umysłowy, bibliotek, handel i przemysł, a szczególnie niektóre jego gałęzie, jak złotnictwo i piernikarstwo.

W roku 1629 Toruńczycy dzielnie walczą ze Szwedami, odpierając ataki feldmarszałka Hermana Wrangla, stojącego na czele znakomitej armji szwedzkiej. Od chwili oddania Torunia w r. 1655 w ręce Karola Gustawa, miasto przeżywa oblężenie armji polsko-austriackiej, oblężenie i zdobycie murów przez wojska Karola XII, wielokrotne przemarsze obcych wojsk, któremu towarzyszą grabieże, pożary, zniszczenie i powolny upadek miasta. Po drugim rozbiorze Polski, Toruń dostaje się Prusakom. Widzi jeszcze w swych murach rozpaczliwą obronę cofających się wojsk napoleońskich, by otoczony później pierścieniem pruskich fortów, po latach doczekać się powrotu na łono Macierzy.

W kościele N. M. Panny spoczywają prochy „królowej botaniki polskiej” Anny Wazówny — córki króla szwedzkiego Jana III i Katarzyny Jagiellonki, a siostry króla polskiego Zygmunta.

Mając zamiłowanie do studjów przyrodniczych, założyła Ona w Gołubiu wielki ogród botaniczny, hodując w nim liczne odmiany roślin i ziół leczniczych. Zielnik królowy własnego układu, przechowywany w bibliotece Nieświeskiej — niestety zaginął w końcu osiemnastego stulecia. Natomiast trwałym wyrazem jej wielkiej podówczas zasługi dla nauki polskiej było wydanie własnym kosztem jedynego w owym czasie w Europie zielnika w opracowaniu doktora Akademji Krakowskiej — Syrenjusza.

W Toruniu i okolicy znajdowały się ongiś wspinające winnice. Najstarsze winnice były na południowych stokach wzgórz nad Wisłą, mniej więcej na miejscu dzisiejszej Winnicy, na przedmieściu Jakóbskiem. Miał również winnice na Kaszczorku i ojciec Kopernika — Mikołaj, nasz Mikołaj nieraz pomagał w winobranii, myśląc zapewne o gwiazdach. W okolicy Torunia było takich winnic aż 25, a najpiękniejsza — na należących do kościoła św. Jana w Toruniu gruntach Siemonia.

DLACZEGO UCIEKŁAM Z KONNERSREUTH?

(WIZYTA U STYGMATYCZKI TERESY NEUMANN).

Mój pobyt w Joachimstal dobiegał końca. Byłoby przesadą mówić, że prowadziłam zbyt surową kurację, chyba, że do niej zaliczyć nieco jednostajny tryb życia, co nudziło i nużyło mnie nie mniej chyba od kuchni pozbawionej soli. Sytuację ratowały wycieczki w okolice, w których urządzaniu celował mój sezonowy znajomy, dr. Oleś, jak go tu w gronie naszych najbliższych nazywano.

Pewnego dnia, była to połowa października, który tutaj w łagodnym klimacie darzył nas ciepłem i słońcem. rano u wód spotkaliśmy się jak zwykle.

— Panno Ireneo, pojedziemy do Konnersreuth!

— Do Konnersreuth — zdziwiłam się. Cóż tam ciekawego?

— Czy nie słyszała pani o Teresie Neumann?

— Oczywiście, słyszałam!

— I nie miała pani ochoty jej zobaczenia?

— To wszystko jest trochę macabre. A do tego mój sceptycyzm.

— Gdyby nawet — odparł dr. Oleś — czyż to nie doskonale środek na nudę, na którą się tu pani ustawicznie skarży?

— Nie lubię takich wzruszeń, zwłaszcza podbarwionych lichą dewocją — zaoponowałam z właściwą sobie przekorą.

— Pani, jak zwykle, na kredyt gani — odparł niezrażony tem nieprzychylnem przyjęciem. — I jak zwykle jest pani niesprawiedliwą. Mój przyjaciel z Pragi, dr. Hynek, nie znajduje tymczasem słów uznania dla zjawisk w Konnersreuth. Widziałem — powiada — porywającą piękność niebotycznych Himalajów, prudem niezmiernie odmęty oceanów, zagłębiałem się w tajemnicze łono dziewiczych lasów, wsłuchiwałem się w groźną ciszę pustyni — wszystko to nic wobec dnia, który przeżyłem w Konnersreuth. Jest to chwila najdroższa, i niezapomniana w mem życiu. które było pełne przygód i wzruszeń. W religijnej ekstazie ubogiej i prostej dziewczyny ujrzałem nieskończoność i wiekiistość niepojętą.

— Czy pana przyjaciel jest poetą? — zapytałam z niewinną miną.

— Ależ skąd! Jest chirurgiem

— A ja myślałam, że tylko poeci cierpią na wybujałość wyobraźni.

— Pani chce pozbyć się złośliwością, ale ja nie ustąpię — brał na kiel mój dr. Oleś, z którym prowadziliśmy niekończące się spory przy lada okazji. — Chciałbym, żeby i pani wróciła z Konnersreuth skruszona i poruszona do głębi duszy.

— Wolno panu chcieć! Prędzej jednak dam uciąć pańskiemu chirurgowi palec u ręki, niż wydobędę z siebie łąkę sentymentu dla jakichś mistycznych czy historycznych kuglarstw.

— Tembardziej więc może pani z całym spokojemjechać do Konnersreuth — upierał się dr. Oleś. Wszystko dokoła już widzieliśmy, pojedziemy więc poszukać nowych wrażeń nieco dalej.

— Ciekawa jestem jak pan mię przewiezie przez granicę? — zaczęłam nową serję przekomarzań, które mi urozmaicałam wytrwale życie mego towarzysza.

— W aucie, za odpowiednią przepustką, którą mam już nawet gotową.

— A zresztą, możemy pojechać! — odparłam łaskawie.

— Właśnie na to liczyłem!

— Przejazdka dobrze mi robi i na tem koniec. Teresy nie uda nam się zobaczyć. Przepustka na paszporcie nie otworzy nam drzwi jej domu, a zwłaszcza nie wywoła tak na życzenie gości żadnych niebywałych objawów. Niema obawy.

— Kto wie, jak będzie! Dziś jest czwartek, zwykły termin rozpoczęcia jej cotygodniowych wizyj.

— I pan chce mi koniecznie pokazać to wstrętne widowisko krwawienie jakichś dziwacznych, nieuleczalnych ran, przykre grymasy umęczonej niewiadomo dlaczego i poco istoty, historyczne drgawki, jakiś bełkot wizyjny w aramejskim czy innym przedhistorycznym języku, który rozumie dwu czy trzech moli książkowych, zapewne też niespełna rozumu — szydziłam dalej z biednego Olesia, dostarczyciela moich rozrywek i obiektu mych, co tu mówić, sadystycznych (śmiejcie się drodzy czytelnicy) znęcań i złych humorów.

— Przynajmniej porówna pani z jej chorobliwym stanem swą układną zrównoważoność, swe kwitnące zdrowie i przytomność umysłu i zyska pani jeszcze jeden laur do swej chwały — odparł mój Oleś — i nową podnieętą do normalnego życia — dorzucił po chwili.

Myślałam, że kpi ze mnie, ale ten stuprocentowy poczciwiec nie zdawał sobie sprawy z ukrytego sensu przed chwilą wypowiedzianych słów. Westchnęłam więc znacząco i wycedziłam:

— Niech tam już będzie! Skoro pan uważa, że dla mego fizycznego i moralnego zdrowia potrzebna jest ta miła heca, poświęć się i pojedź.

— Dziękuję! — wykrzyknął Oleś, jakby go kto wsadził na stukonnego Packarda.

Mam wrażenie, że się we mnie biedak na serjo podkochał.

— Tylko niech pan nie liczy, że ja panu będę dziękować za tę ofiarę.

W parę godzin potem pędziliśmy wygodnem autem w kierunku granicy niemieckiej. Doskonała szosa, wijąca się serpentynami rozwijała się jak błyszcząca taśma za nami i przed nami.

Poczciwy doktorek tymczasem starał się mię wtajemniczyć w historję życia Teresy Neumann, aby odpowiednio przygotować do oczekujących wrażeń.

— Teresa urodziła się ..

— Urodziła się, podchwyciłam z przekornym uśmiechem, a ja myślałam, że w jakiś inny sposób spłynęła na ten niegościnnie padół.

— 8 kwietnia 1898 w Wielki Piątek — ciągnął niezmaczenie dr. Oleś.

— Ach, teraz rozumiem te wszystkie jej fizyczne i psychiczne aberacje. Urodzić się w Wielki Piątek dzień śmierci Chrystusa, to jest zuchwalstwo. Przytem te trzy ósemki, przypominające znaki nieskończoności. Fatalna gwiazda świeciła nad kolebką pańskiej Teresy. A zresztą, gdy zastanowimy się nad tem poważniej, jak pan myśli, czy urodzenie się w W. Piątek, dzień tak tragiczny, nie stwarza drogą refleksu psychiki matki na dziecko specjalnej predyspozycji duchowej do rozpamiętywania tajemnic chrześcijańskich? Jeśli przestrasza matki na widok myszy lub ognia zostawia ślad fizyczny na ciele dziecka, to dlaczego byłoby niemożliwem przypuszczenie, że związanie

się momentu porodu z datą wielkopiątkową wywołało pewna ślady w korze mózgowej nowonarodzonej Tereni?

Dr. Oleś pilnie słuchał mego wywodu i, pochylivszy głowę, jakby z uznaniem, odpowiedział:

— Pani krytycyzm nie jest tak zupełnie bezpłodny. Faktem jest, że już w najwcześniejszym dzieciństwie Teresa chętnie słuchała opowiadań o męce Pańskiej i często odprawiała drogę krzyżową. Natomiast nie lubiła bajek, zrażona ich przesadną fantastycznością. Nie znaczy to jednak, by była usposobienia ponurego. Przeciwnie kochała się w kwiatkach, chętnie słuchała śpiewu płaków. W roku 1914 pierwszy raz zobaczyła wizerunek św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Urok tej świętej podbił jej serce. Przeczytała jej „Dzieje duszy”, stale rozczytywała się w czasopiśmie „Deszcz róż”.

— Och, papierowy deszcz róż! — wtrąciłam wierna swemu duchowi przekory. Co za ckliwe źródło natchnienia mistycznego?

— Jak pani uważa! Jeśli ckliwe, to jednak nieszkodliwe! — odparował cios mój towarzysz.

— No, niezupełnie; taka jednostronna lektura na tle wrodzonej predyspozycji z reguły doprowadza do manji, do obsesji, która staje się dominantą życia duchowego. W odpowiednim momencie pod wpływem jakiegoś wstrząsu następuje wyzwolenie nagromadzonego balastu psychicznego, rodzi się psychoza. Nie potrzebuję tego panu przypominać, jako lekarz doskonale pan o tem wie.

— Pani jest, widzę, wierna swemu uprzedzeniu. Tymczasem niech pani wysłucha do końca jej dziejów. Okres wojny Teresa spędza pracując ciężko na roli u bogatego kuzyna Marcina Neumanna. Fizycznie przedstawia typ dzielny i pracowity. Potrafi udźwignąć korzec żyta. Zdarzył się jednak wypadek, który ją powalił na sześć lat na łożo boleści.

— Co za patetyczne określenie!

— Być może; w oczach pani, która robisz już alarm z powodu byle migreny, wieloletnie cierpienia Teresy zasługiwałyby jednak na większe współczucie. 10 marca 1918 r. wybuchł pożar, który przedewszystkiem silnie ją przeraził. Następnie przy podawaniu wody nadwyrężyła sobie kręgosłup. Dwa pierścienie kręgosłupa zostały przesunięte na prawo. Cały lewy bok został sparaliżowany. Przy najlżejszym poruszeniu chwytały ją konwulsje. 17 marca 1919 r. utraciła wzrok, niewątpliwie na tle porażenia przy pożarze (reakcja źrenicy była normalna, mamy tu więc do czynienia raczej z urazem nerwowym). Następnie przyszła głuchota lewego ucha, potem porażenie mięśni przełykowych. W 1922 r. przedstawia istny obraz nędzy i rozpacz. Pozbawiona możności ruchu, ślepa i napół głucha, z bolesnymi wrzodami przełyku, obolała od przykrych ran odleżynowych na plecach, przykuła jest do łożka, istny Łazarz i Hiob!

— Oczywiście, oczywiście! — wtrąciłam, tym razem bez przekonania, przejęta trochę obrazem cierpień, których smak znany jest przecież każdej ludzkiej istocie, których ciężar nie wszystkich jednak z tak straszliwą i bezwzględną przynętną siłą. I czemuże się to skończyło? — pytam odruchowo.

— Uzdrawieniem, a właściwie serją uzdrowień, które vox populi uważa za cudowne.

— Więc nareszcie dobrnął pan do słowa „cud”, którym już oddawna chce pan poczęstować mój sceptycyzm.

— Dnia 29 kwietnia 1923 r. — ciągnął dalej — w dzień beatyfikacji św. Teresy od Dzieciątka Jezus, przebudziwszy się rano, T. Neumann zaczęła rozróżniać otaczające przedmioty. Odzyskała wzrok. Drugie uzdrowienie nastąpiło dnia 17 maja 1925 r., w dzień kanonizacji Teresy

od Dz. Jezus. Teresa przebywała w swym pokoju na górze. Rodzice byli też w domu. W tym czasie odprawiało się nabożeństwo majowe. Nagle niezwykłej siły i piękności światło nappełniło pokój. Tak się przynajmniej wydawało Teresie.

— Słuszne zastrzeżenie. Nie można ufać wrażeniom wzrokowym człowieka, a zwłaszcza kobiety, która przez cztery lata była oślepią. Możliwość halucynacyj wzrokowych jest więcej jak prawdopodobna. A przytem znów te „wielkie” daty: beatyfikacja i kanonizacja. Musiało ją to wzruszyć.

— Nie mogę odmówić pani prawa interpretowania tych faktów na swój sposób.

— Pan bardzo łaskaw! Dziwię się jednak, że tak łatwo daje pan wiarę rzeczom, które ani widział, ani sprawdził, a które już na pierwszy rzut oka budzą tyle wątpliwości i zastrzeżeń. I tak postępuje przedstawiciel wiedzy ściślej!

— Pani przystępuje do generalnej ofenzywy!

— W miarę jak pan zagęszcza atmosferę uwielbienia dla konnersreuthskich dziwów czy cudów, muszę wzmocnić linię mego obronnego frontu. Jeśli rzeczywiście mam doświadczyć i zobaczyć niezwykłych zjawisk w Konnersreuth, to niech tego doznam umysłem wolnym od jakiegokolwiek sugestji i bez awansów przyszłego ewent. uznania. Jeżeli zjawiska w Konnersreuth są obiektywną rzeczywistością, to będę i tak ich świadkiem. Tymczasem słyszę, że Teresa wymaga już zgóry wiary w niezwykłość swych objawów. To mi się wcale niepodoba. Słońce świeci niezależnie od tego czy się komu podoba czy niepodoba i czy ktoś wyznaje teorię geocentryczną czy heliocentryczną. Nadprzyrodzoność, która uzależnia swe manifestacje od czyjegós złego humoru czy sceptycyzmu, jest głupstwem, omamem zmysłów, conajwyżej afektem zbiorowej sugestji, która należy do kategorii zjawisk mieszczących się całkowicie w porządku przyrodzonym. — Wszystko to wyrzuciłam z siebie jednym tchem, nagłona jakby jakimś wewnętrznym przymusem. Nie dziwcie się zresztą: nasz wiek tyle dostarczył ludziom złudzeń w zakresie zjawisk czysto realnych, że byłoby lekkomyślnością, jeśli nie szaleństwem, powiększać ich rejestr jeszcze o całą skalę nadprzyrody.

— Tak, tak! Tylko widzi pani, jeśli konsekwentnie wątpiąc, nie dochodzi się dalej niż do końca własnego nosa, czy powiedzmy na koniec rzeczywistości materialnej, to już chyba jest lepiej pójść za drogowskazem „wiary Bretonki”, którą tak pochwałał sam genjalny Pasteur.

— Wiara! Jestem przeciwniczką wiary w imię absurdu, wiary wynikającej ze stwierdzenia doraźnej bezsilności wiedzy. Rzecz nierozpoznana nie znaczy niewytłumaczalna. Moją wiarę chcę ugruntować na podstawie rzetelnej wiedzy. Zanim powiem, że Bóg czyni cuda, muszę stwierdzić, że powołujący się na nie człowiek nie oszukuje mię lub nieświadomie wprowadza w błąd. Bóg nie znosi niedowiarków, ale śmieje się z naiwnych dewotów.

— Mimo tych pani bezwzględnych zastrzeżeń, dla całości mych informacji, opowiem jeszcze pani coś niecoś o innych niezwykłych zjawiskach. 13 listopada 1925 r., po krótkiej modlitwie została wyleczona z ropnego zapalenia ślepej kieszki. Ropa odeszła, a T. Neumann ubrała się i poszła do kościoła. W roku 1926 od 13 lutego do 17 maja znów przeleżała w łożku, cierpiąc dotkliwie z powodu guzów w uchu. W tym czasie zaczynają się pierwsze jej wizje męki Pańskiej. W czasie takiej wizji z czwartku na piątek uczuła ból w boku i rzeczywiście zaczęła jej z boku ciec krew. W Wielki Piątek wieczór miała już stygmaty ran na rękach i nogach. Jednocześnie przeżyła w sposób wielce intensywny i przejmujący całą mękę Pań-

ską od modlitwy i krwawego potu w Ogrójcu, aż do chwili skonu na krzyżu. Usiłowano rany stygmatyczne leczyć maściami — napróżno! Stosowane leki sprawiły jej niesłychane cierpienia. W piątek 5 listopada 1926 r. otrzymała stygmaty głowy. W wielkim poście 1928 r. nabrzmiało jej prawe ramię, jakby pod ciężarem krzyża. Poza to muszę zwrócić jeszcze uwagę, że Teresa przestała przyjmować pokarmów i płynów, mimo to, mimo stałej utraty co piątek conajmniej ćwierć litra krwi, żyje, a ciało jej zachowuje swą wagę. Do rzeczy najcharakterystyczniejszych należą jej wizje, jej przepowiednie, zdolność wnikania w tajniki dusz, rozpoznawania relikwii. Dodajmy wreszcie szczegół, że od września 1927 r. nie sypia zupełnie.

— Słuchałam cierpliwie tego wszystkiego. Jeden szczegół mniej czy więcej nic tu nie znaczy. Identycznie te same, albo podobne szczegóły można przytoczyć w wypadkach daleko posuniętej hysterji.

— Świeca świeci i słońce świeci, ale to nie jest to samo.

— Doskonały pan jest! W każdym razie dziękuję za ten balast szczegółów. Postaram się jak najprędzej po drodze go zgubić. Trzeba umieć zapominać, żeby nie kierować się w życiu uprzedzeniami.

— Czy mam to uważać za deklarację, że zgubi też pani swój sceptycyzm gdzieś na ostrzejszym zakręcie tej drogi, by bez żadnych uprzedzeń zajechać do Konnersreuth?

— Byleśmy tylko zajechali i uzyskali to, dla czego odbywamy całą tę jazdę. Mam wrażenie, że ze wszystkiego będą nici. Proszę tego nie brać za prorocstwo, tylko za głos zdrowego rozsądku.

Tak się zaczęła ta jedyna w swoim rodzaju przygoda, której wspomnienie budzi jeszcze dziś we mnie sprzeczne bardzo myśli i uczucia.

Przedewszystkiem rozpoczęło się od pewnych nieporozumień na granicy bawarskiej. Triumfowałam, ale nie długo. Wszystko sprzysięgło się widać przeciw mnie. Dr. Oleś uspokoił jakoś obawy straży granicznej, do czego nie mało przyczyniło się poparcie pewnego inżyniera z Pragi, który w tym samym czasie nadjechał. Po chwili jechaliśmy już po ziemiach króla bawarskiego, a właściwie piwa bawarskiego, jak to nieomieszkałam złośliwie podkreślić memu towarzyszowi i zaznaczyć z naciskiem, że nie mam zamiaru go wypić. Jeśli piję, to już dobre wino Mijamy jakieś wieś i miasteczka, które zwracają mą uwagę swym schludnym wyglądem.

— Jesteśmy już w promieniu wpływów Teresy Neumann. Po tej drodze często jeździ.

— Bardzo mnie to cieszy, Drogi są zresztą dla wszystkich — mruczę nieuprzejmą odpowiedź, i z podziwem patrzę na pewne podniecenie, jakie ogarnia mego towarzysza.

Wreszcie Konnersreuth. Gdzieś z boku wyrasta piękny barokowy kościółek. W pobliżu plebanja. Do niej też zajeżdżamy. Mój towarzysz chce zameldować nasz przyjazd. Nie jesteśmy zresztą jedynymi gośćmi. Na rynku widziałam parę aut. Podobno nieraz zjeżdża się tu do 300 aut.

Wchodzimy do plebanji. Dr. Oleś znika. Ja rozglądam się wśród obecnych. Jest tu kilka wiejskich twarzą. Jest jeden kapłan i jakieś towarzystwo. Widać — przybysze. Po chwili zjawia się nasz doktorek i powiada z półpół stropioną, napół tajemniczą miną:

— Są trudności.

— Wobec tego wracajmy.

— Chwileczka, wszystko się wyjaśni. Ks. proboszcz to sympatyczny człowiek. Przyjął mię życzliwie. Mów

tylko, że Teresa jest nieco wyczerpana. Nie chciałby jej przemęczać.

— I ja także nie mam chęci nad nią się znęcać.

Nagle otwierają się drzwi, wchodzi jakaś ciemno ubrana postać. Biała chusteczka okala wyrazistą i miłą twarz, w której zwracają uwagę duże, nieco podkrążone oczy.

— Grüss Gott, Grüss Gott! — słyszę pozdrowienia.

Ach, więc to jest Teresa Neumann. Przyglądam się jej uważnie. Idzie dość pewnie, zlekka utykając, zapewne z powodu stygmatów w nogach. Na rękach ma czarne mitinki, zasłaniające jej tylko dłonie.

— Wyglądasz interesująco — mówię do dr. Olesia.

Mój towarzysz jednak nie słucha mnie, podchodzi do Teresy i powiada:

— Przyjechaliśmy, aby z tobą pomówić.

— Dobrze — odpowiada — naprzód jednak pomówcie z księdzem proboszczem.

Rozkładałam nieco komicznym ruchem ręce, dając wyraz swej bezradności. Teresa spogląda w mą stronę, czyni parę kroków i powiada:

— Und Sie auch. Wiedziałam o tem.

Jestem zdumiona, milczę zupełnie bezradna. Teresa uśmiecha się i odchodzi w głąb mieszkania.

— Czy pan słyszał? — pytam dr. Olesia. — „Ona wiedziała”.

— Tak, słyszałem.

— Co to znaczy? — nieomal krzyczę.

— To znaczy, to znaczy — płacze się biedak — że... ona wiedziała.

— Z kogoś tu strugają warjata — odrzucam.

Cięzko padam na krzesło i milczę. Mój towarzysz znów znika, zapewne w poszukiwaniu proboszcza. Po dłuższej chwili jest zpowrotem.

— Odmieniło się — powiada — proboszcz zgadza się dopuścić nas do Teresy.

— Nic się nie odmieniło — mówię — jestem zdecydowana aż do końca utrzymać się w roli niewiernego Tomasza. Dr. Oleś pokiwał tylko głową. Niech mu będzie na zdrowie.

Tymczasem poszliśmy zwiedzić kościółek. Wnętrze jego, dziwnie wesołe i przytulne, zrobiło na mnie korzystne wrażenie. Jednak wdzięk renesansu i baroku nieda się z niczem porównać. Ja osobiście meznoszę mroku gotyckich świątyń, może to jest jakaś podświadoma awersja do tej strzelistości gotyckiej, która jest krzykiem człowieka do nieskończoności, ale tyle tylko, krzykiem, na który brak odpowiedzi. Krągłość i sferyczność kształtów, zamkniętych w architekturze renesansu i baroku zbliża tę nieskończoność, jest jej osiągnięciem w granicach ludzkich możliwości. Dlatego kościółek w Konnersreuth napełnił mię otuchą, że przecież swemi murami nie będzie patronował czemuś, co jest zbyt jaskrawym nonsensem.

Koło ołtarza ujrzałam znów Teresę, jak krzątała się nad jego przystrojeniem kwiatami. Mimo pewnej powściągliwości w ruchach, spowodowanej zapewne dolegliwością ran, poruszała się z dużą swobodą i nieomal wdziękami. Wyglądała zupełnie naturalnie i nic nie zdawało się zapowiadać tych wstrząsających przeżyć i tej krwawej męki, która za parę godzin miała objąć organizm tej wątłej istoty.

— Czy to możliwe, pytałam w duchu? Czy to możliwe? Na oszustkę nie wygląda. W jej oczach tyle poczciwości? Byłaby więc tragicznym igrzyskiem niezbadanych potęg, które oznaczamy imieniem Boga?

Potrząsnęłam głową, jak zwykle oporna i nieprzejednana wobec spraw, które swe źródło czerpią w nieznanem, czy — powiedzmy chwilowo — niewytłumaczalnem. Nie



Toruń. Kościół św. Jana z XIII w.



Ratusz toruński.



Pomnik Kopernika wystawiony przez Niemców.



Zaulek w starym Toruniu.

wiem o czym myślał mój towarzysz, w każdym razie i na jego twarzy spostrzegłam odbłask jakiejś radości.

— Prawda, jak tu wesoło? — szepnęłam cicho do jego ucha. Spojrzał na mnie nieco obłądnym wzrokiem. — Stracony człowiek — pomyślałam.

Wyszliśmy przed kościół.

— Co teraz robimy? — zagadnęłam.

— Pójdziemy zobaczyć dom, w którym mieszka jej rodzina.

Przeszliśmy rynek dość przyzwoicie utrzymany. Po chwili staliśmy przed piętrowym murowanym domkiem, którego jasne, bielone ściany były bardzo efektownym tłem dla kwitnącego barwnie ogródka. Z boku rosnęło sobie samotne, niewysokie drzewo, zda się dyskretny powiernik tajemnic tego skromnego domostwa. Weszliśmy do środka. Zwykły warsztat krawiecki. Starszy, poczciwie wyglądający człowiek wraz z młodym terminatorem zajęci byli robotą. Z przyjemnością rozejrzałam się po izbie. Uderzyła mnie swą czystością i atmosferą dziwniej przytulności. Kanarki z drozdem na przemian napełniały powietrze swymi trelami. Z kąta przekomarzała się papuga. W akwarjum złote rybki. Cóż można powiedzieć złego o ludziach, którzy hodują kwiaty i ptaki. Mój przyjaciel rozmawiał tymczasem z ojcem Teresy. Wylegitymował się przedewszystkiem posiadaniem zezwoleniem na odwiedzi-
niny, a następnie zaczął wypływać o różne, zapewne cenne dlań szczegóły. Prosił wreszcie o ustalenie godziny widzenia z Teresą. Nagle weszła ona sama.

Mój towarzysz skłonił się przed nią.

— Grüss Gott!

Przyglądałam się jej bacznie. Duża, wyrazista twarz dziwnie błada nawet w porównaniu z białym nakryciem głowy, technie jakimś spokojem. Z kolei skierowuję wzrok na jej ręce. Widać w spojrzeniu mem jest tyle uporczywej ciekawości, że Teresa domyśla się o co mi chodzi.

— Pani chciałaby zobaczyć znaki na dłoniach. Jeżeli nie wierzy się słowu, dobrze jest wierzyć choć oczom! — Czuję się zawstydzona i lekko urażona, ale ciekawość przemaga. Teresa zdejmuję rękawiczkę. Rękę owija cienki bandaż. Po chwili zsunęła go. Ukazuje się dłoń wprost alabastrowa, na której ciemną plamą krwawi się stygmat, teraz zakrzepły. Zadziwia mnie dziwnie szlachetny rysunek rany prawie romboidalny. Odnoszę wrażenie, że krew pulsuje, jakby miała wysadzić zapory skrzepów, co zamknęły ranę.

— I pomyśleć, że tak na przebitych okrutnie dłoniach wisiał Zbawiciel na krzyżu, na szyderstwo mając dwu łotrów za towarzyszy.

Spoglądam w oczy Teresy, gdy wypowiada te słowa. Dziwnie jakoś jaśnieją. Czuć, że dla niej to nie są tylko słowa, ale fakty. Mój Boże, jakie to proste — móc wierzyć! Wiedzieć i wierzyć!

Nagle zbuntowało się wszystko we mnie: jakto, dotąd ani słowem nie zareagowałam na te wszystkie kuglarstwa, ja, która jestem chodzącym sceptycyzmem.

— Więc nie wydaje się pani to wszystko niepotrzebne? — pytam obcesowo.

Patrzy mi przez chwilę prosto w oczy. Co za dziwnie przenikliwy wzrok?! Znów mieszam się, jakbym popełniła jakąś niewłaściwość. Teresa milczy. Próbuje naprawić sytuację i rzucam niepewnie:

— Bo przecież takie życie musi być uciążliwe?!

— Man muss handeln so wie der Heiland den Menschen drängt. Należy tak czynić, jak łaska Boża nas zniewala — odpowiada Teresa głosem dziwnie obcym, jakby nie od siebie, ale w czyjś imieniu. Brzmi to i miętko i rozkazująco.

— Tak, tak — odpowiadam machinalnie, tylko trzeba wiedzieć co to jest łaska Boża.

— Man muss sich ergeben. — Trzeba się tylko poddać. Skłania lekko głowę i odchodzi.

My także opuszczamy dom Neumannów, umówiwszy się przedtem, że rano raz jeszcze odwiedzimy Teresę, kiedy będzie już po Komunji św. Dr. Oleś usiłuje mi czynić wymówki, że postąpiłam sobie nieco brutalnie. Uśmiecham się wyzywająco i powiadam:

— Święci podobno odznaczają się cnotą cierpliwości!...

Na noc ulokowaliśmy się w jakimś gościnnym domu. Spałam źle. Śniło mi się, że mnie przybijają do krzyża. W jedną rękę wbito mi pilnik do paznokci. W drugą szydełko. Głowę ukoronowano grzebieniem, który w rękach oprawców wygiął się zgrabnie w koło i wpił ze straszliwą siłą w me skronie. Obok mnie na krzyżu wisi dwu łotrów. W jednym z nich, po prawicy rozpoznaję dr. Olesia. Uśmiecha się, jak zwykle, naiwnie i poczciwie. Biedakowi widać dobrze na krzyżu. — Pan nie wejdiesz i tak do królestwa prawdy. Nie, nie, nie! — z krzykiem tym na ustach budzę się cała spocona i zziębnięta. Co za potworne majaki?!

Gdy potem opowiedziałam mój sen dr. Olesiewi, pokłiwał tylko głową, jak to on potrafi, i powiedział:

— Widać pani nerwy nie są w porządku!

Rano poszliśmy do kościoła. Nabożeństwo odprawiał ks. wikary. Proboszcz przygotowywał się do zanieśienia Teresie Komunji św.

Jasność i cisza panująca w Kościółku ukoiliły mię.

Udaliśmy się do domu Neumannów. W blasku rannego słońca wyglądał dziwnie wesoło i przytulnie. Weszliśmy.

Pokój Teresy jest na piętrze.

— Nie noszę mdłego zapachu krwi — powiadam już zgóry do mego towarzysza.

— Niech się pani nie obawia. Nie będzie go wcale. Są tam wentylatory.

— Brawo. Oto nowoczesna świętość. Elektrycznie ogrzewany fotel, auto, wentylatory.

— Zresztą trzeba rzecz doprowadzić do końca. Wchodzimy po wąskich, stromych schodach do niewielkiej izdebki. Spoglądam niespokojnie ku łóżku. Przypominam sobie wszystkie zasłyszane szczegóły, jak to Teresa robi sobie „toaletę męczeństwa”, jak przywdziewa specjalnie białą koszulę i chusteczkę, jak kładzie się o określonej godzinie do łóżka, niby światowa dama oczekująca na przybycie gości. To wszystko ma mnie uzbroić przeciw urokowi nadziemskich zjawisk. Ot, jeszcze jedno widowisko, urządzone ściśle według wydrukowanego programu i z zastrzeżeniem dla dyrekcji prawa zmiany „numerów”.

Nagle wszystkie te przekorne myśli jakby kto wymiół mi z głowy. Przykuwam oczy do łóżka, na którym spoczywa Teresa. Po obliczu jej, które przeraża i oślepia swą bielą, toczą się, niby dwa strumienie lawy, dwie ciemne smugi krwi, spływające z oczu i ze skroni, które krwawią. Po wierzchu purpurowią się krople, które tylko co wypłynęły i zciekają powoli wdół.

— Obetrzyjcie jej twarz! — chcę wolać, lecz krzyk więźnie mi w gardle.

Cofam się przerażona pod ścianę. Wyciągnięte ręce Teresy leżą dziwnie spokojnie na kodrzu. Krwawią tylko w okresie wielkiego postu.

Wtem Teresa unosi się dziwnie sztywno, jakby punkt podparcia był u jej stóp. Poprostu lewitacja. Ręce jej wyciągają się wprzód, jakby na powitanie kogoś, kto spływa ku niej z góry. Słychać szept:

PSYCHE ROSYJSKA W ŚWIETLE WALKI Z BOGIEM

Kierownik sekcji walki z propagandą ateizmu rozwiązanego niedawno przez hitlerowców towarzystwa „Volksverein für das katholische Deutschland”, ks. dr. Konrad Algemissen, wydał niedawno książkę p. t. „Die Gottlosenbewegung der Gegenwart und ihre Ueberwindung” („Współczesny ruch bezbożniczy i sposoby przezwyciężenia go”). W tej żmudnej, gruntownej pracy, zasługującej ze wszech miar na uwagę, autor zastanawia się m. in. nad tajemnicą duszy rosyjskiej i na tej drodze usiłuje znaleźć wyjaśnienie zagadki tak jaskrawego zwrotu ludu rosyjskiego od przystawionej religijności do bezbożnictwa.

Bodaj najgłębszym rysem duszy rosyjskiej jest, jego zdaniem, cichy smutek i pełna zadumy melancholija. Ale obok tego elementu tkwi w niej inny, wprost przeciwny, który sprawia, że Rosjanin niespodziewanie, nagle w jednej chwili może stać się ofiarą namiętności, która burzy wszelkie tany. Obie te tak bardzo charakterystyczne i wzajemnie się wyłączające cechy istnieją obok siebie nie pogodzono, w całej pełni swej odrębności i one to są źródłem zagadkowości tej duszy i niewypowiedzianego tragizmu narodu rosyjskiego. Na poparcie swej tezy, autor cytuje opinie hr. Aleksandra Sołtykowa, prof. Berga, Pawła Rohrbacha i innych znawców europejskiego Wschodu.

Już Napoleon stwierdził istnienie dwu odrębnych światów w duszy rosyjskiej: Europy i Azji. „Poskrobcie — mówił — Rosjanina, a zaraz wynurzy się z niego Tatar”.

Ta wyjątkowa struktura psychiki Rosjan, wyjaśniająca wiele zjawisk rewolucji bolszewickiej, decyduje też o właściwościach ich religijności. Wyrastająca bujnie na podłożu wrodzonej im łagodności naturalna tęsknota do Boga, pod wpływem nieokiełzanych instynktów wschodnich, przeradza się w straszliwą żądzę wybawienia. „W ten sposób religja staje się dla Rosjanina czymś co jest samo przez się zrozumiałe, czymś bezpośredniem, co organicznie wiąże się z życiem dnia powszedniego i co dostarcza najsilniejszych impulsów do wszelkich ofiar osobistych. Kto wie, czy lud rosyjski, obdarzony wprost niezwykłą zdolnością poświęcania się na rzecz religji, czy ten lud, zgodnie ze swą naturą, nie jest najbardziej religijnym wśród wszystkich ludów ziemi.

Zapewne głębią skłonności religijnych tłumaczy się też bezwzględność i krańcowość charakteru rosyjskiego. Ekstremizm jest usposobieniem rosyjskiem. Rosjanin go-

tów jest przyswoić sobie jakąś określoną ideę ze wszelkimi jej konsekwencjami i wcielić ją następnie w życie, nie oglądając się zupełnie ani na jej specjalny charakter, ani na jej wyjątkową rolę w świecie rzeczywistości”.

Rosjanin nigdy nie jest w stanie uporać się z ideą Boga i nie może być bezbożnym tak prosto na zimno, jak to umiemy robić ludzie Zachodu. Dla niego istnieją tylko dwie możliwości: albo ofiarne poświęcenie się Bóstwu, albo walka z niem. Przy jego nawskroś mistycznym usposobieniu ta postawa duchowa otrzymuje niezwykle ciche cechy zjawiska religijnego i w rezultacie — co nie jest możliwe u żadnego innego narodu na ziemi — przeradza się w wiarę niewiary i religję nieprzyjaźni względem Boga. Wskutek tych właściwości ruch bezbożniczy nabiera w Rosji rysów, jakich nie posiada w żadnym innym kraju, rysów, które przerażają na pierwszy rzut oka, które jednak po głębszej rozwadze mogą wzbudzić pewną nadzieję, ponieważ uwarunkowane są niezwykle religijnym usposobieniem duszy rosyjskiej.

Zdaniem autora, już w samych nazwach dzisiejszych komunistycznych organizacji ateistycznych poszczególnych krajów ujawnia się ten specyficzny charakter, jaki ruch bezbożniczy posiada u różnych narodów. We Francji np. całkiem widoczna jest tendencja do odrzucania nazwy „wolnomyśliciel” i zastępowania jej nazwą „ateista”. To odpowiada chłodnemu racjonalistycznemu usposobieniu Francuza, który jako „bezbożnik” od ręki załatwia się z Bogiem. Niemiecki komunistyczny ruch bezbożniczy broni z niezwykłą energią terminu „wolnomyśliciel”; jest to znów zgodne z upodobaniami Niemca, który przy pomocy wolnej myśli chciałby dojść do bezbożności, t. j. do samodzielnego, wolnego od pojęcia Bóstwa poglądu na świat. „Rosyjski związek bezbożników nazywa się „związkiem bezbożników wojujących”, przyczem nacisk położony na słowo „wojujących”. To odpowiada rosyjskiemu charakterowi; Rosjanin bowiem nigdy nie może uporać się z Bogiem, nawet wtedy, gdy staje się bezbożnikiem, albo jest on całkowicie oddany sprawie bożej i zatapia się w życiu religijnem, albo przybiera wyzywającą postawę względem Boga, postawę, która jednak, według ks. Algemissena, prędzej i łatwiej może przekształcić się w stosunek prawdziwie religijny, niż racjonalistyczne, chłodne przekreślanie Boga przez ludzi Zachodu. Dr. A. Ż.

(Dok. art. „Dlaczego uciekłam z Konnersreuth“).

— Jesteś, jesteś. A ja zawsze pragnę do ciebie zbliżyć dusze ludzkie. Sanctus, Sanctus, Sanctus.

Promień słońca, co zagląda przez okno do pokoju, oślaca twarz Teresy dziwnie niezemskim blaskiem. Rubiny krwi kwitną niby róże na jej białem, tak śmiertelnie bladym obliczu.

— Dosyć, dosyć! — wołam i wybiegam z pokoju. Nie wiem jak znalazłam się na dole. Nagle z ogródka dobiega mię słodziutki głosik:

— Niech pani poczeka, dam pani kwiatów. To mała wnuczka Neumanów, ulubienica Teresy. Staję i zaczynam się zastanawiać. Fala krwi zalewa mi twarz. Więc tak nędznie zwiłam z placu! To nieładnie! Wracam! Nie doszłam dalej, niż do progu, gdy spotykam dr. Olesia, który powiada:

— Co się z panią stało? Ale już — widzę dobrze! — Teresa powiedziała jeszcze: Man muss zum Heiland zurück! — Trzeba wrócić do Zbawiciela!

Muszę wyznać z prawdziwą zresztą radością, że przecież ta moja wizyta w Konnersreuth stała się mym pierwszym krokiem na drodze powrotu do Chrystusa.

Irena Pawłowska.

DOBRCZE JEST...

*Dobrze jest gdy na nieba kopułę
Gwiazd zlocistych tysiące wypłynie
Świerszcze grają serenady czule
W poplątanej powojów gestwimie.*

*Dobrze jest, gdy topoli korony
Srebrny księżyc poświęta okryje
I świat kwiatów w śnie pograżony
Krople rosy życiodajnej pije.*

*Dobrze jest, tę wieczorną ciszę
Wchłaniać w siebie po codziennym trudzie
I gdy spokój serce ukolysze
Choć na chwilę zapomnieć, że istnieją ludzie.*

Matusiakówna Stanisława.

DON JOSE ST. NOARRO.

8)

ZDOBYWCA AFRYKI

POWIEŚĆ.

— Sejm, sejm, piękna instytucja, ale każdy poseł jest również stróżem swego podwórka, swych interesów.

— To podłość.

— Panie. Rozmowa nasza skończona, zaperzył się Pęcherz. Szkoda gadać.

— A szkoda — porwał się Stefan gniewnie i wybiegł z pokoju.

Na powietrzu dopiero otrzeźwiał.

— A to ładny skutek. W gorącej wodzie jestem kąpany. Przesadzam. Przecież na całym świecie przyjęto, że za współpracę i poparcie płaci się. Ludzie są ludźmi. I ja sam stworzyłem sobie z mego dzieła podstawę egzystencji. Tak to prawda, lecz tacy Pęcherze za nic, za czcze, milczące poparcie, a właściwie za nieprzeszkadzanie dziełu chcą gratyfikacji i choć niewątpliwie są nieliczni, jednak przez swój spryt, obrotność, przebiegłość i złośliwość mogą niejedną dobrą sprawę sparaliżować.

Nie umiem z ludźmi gadać. Nie trzeba było tak ostro. Lecz inny głos pochwalał znów jego postępowanie — właśnie tak. Kanalję trzeba tępić. Tacy obniżają tylko powagę sejmu i przeszkadzają w jego doniosłych funkcjach.

VIII.

— Cieszę się, panie Stefanie — mówił ks. Kordjan — z dobrotliwym uśmiechem — że znów jesteś u mnie. Sprawy społeczne odebrały mi pana.

— Nietylko! Odebrały też mnie samemu sobie. Stałem się, z własnej woli zresztą — jednym z kółek wielkiego mechanizmu społecznego. I zmęczyło mię to.

— Jako! Przecież pan zawsze głosił z takim zapalem obowiązek służby społecznej, przewyciężenia własnego egoizmu na rzecz dobra ogólnego.

— Na rzecz egoizmu społecznego!

— To brzmi jak rozczarowanie — rzekł ks. Kordjan z troską

— To jest zmęczenie!

— Nie można się zmęczyć czynieniem dobrze.

— Dla kogo? Dla ludzi złych, głupich, którzy płacą niewdzięcznością!

— Nie dla ludzi trzeba czynić, ale dla Boga. A wówczas cóż znaczy wdzięczność świata!

— Tak, ale trudno mi to pojąć.

— Trzeba się tem przejać, aby wypełnienie obowiązku stało się czemś tak naturalnem, jak kwiat na drzewie w promieniach wiosennego słońca.

— Księżu Kordjanie, ukaż mi to słońce. Wiem, że jest, ale go nie mogę dostrzec.

— Słońce musi się znaleźć w każdym z nas. Jest to wiara w Boga. Ona jest tą siłą twórczą, którą z najroznaczniejszego ugoru duszy wyprowadza wspaniałe kwiaty poświęcenia, ofiarności, samozaparcia się. Miłując Nieskończonego, Wszechmocnego, stajemy się zdolni do czynów potężnych na rzecz jego utworów, w których jest przecież odblask najwyższej doskonałości.

— Tak to prawda. A jednak człowiek jest nędzny. Ta nędza, jego brud moralny paznokcie i gnojące serca, to nie są rzeczy zdolne pobudzać do wzniosłości. Bo ostatecznie cóż mię obchodzi, że pewna część ludzi będzie miała domyte ręce, jakiś ład w życiu i w duszach, którego może dziś jeszcze nie potrzebuje, nie przeczuwa, nie pożąda. Lepiej niechby zginęli razem ze swem robactwem i podłością.

— A jednak, uprzytomnijmy sobie, że dla tych nędznych, opuszczonych i nawet nieświadomych swej tragedji zstąpił Bóg, aby ich odkupić, Bóg, który żadnego w tem osobistego interesu nie miał, który w nagrodę dostał wzgardę, koronę z cierni na głowie i trzy gwoździe wbite w drzewo krzyża, bo nawet czwartego zabrakło dla pełni jego męczeństwa, — mówił ks. Kordjan głosem cichym, tklwym, z oczyma napół przymkniętymi, jakby wpatrzony w wizję Golgoty i w bijące z niej promienie niepojętej, wzniosłej i podnoszącej ku swym szczytom miłości Bożej ku Stworzeniu.

— Księżu Kordjanie! — wykrzyknął Stefan z zapalem, jakby porwany przemożnym urokiem tej ewangelicznej sceny, zamykającej dzieło Odkupienia — tak, wówczas wszystko się pojmuje. Księżu Kordjanie, dzięki za te słowa przypomnienia i otuchy. Trzeba umieć spojrzeć głębiej na Chrystusa, aby zrozumieć siebie i ludzkość. Trzeba spojrzeć oczyma miłości.

— Tak, źle nauczono was, dzieci epoki, rozumieć świat! Nauczono was rozumkować, roztrząsać, ważyć, mierzyć, słowem kruszyć glob na mgławicę wątpliń. zapytań, przeczeń, by wreszcie rzucić ją w chaos zniechęcenia i nienawiści. Wielkość świata zmielona na żarnach ludzkiego rozumu — stała się głupstwem, przedmiotem szyderczej drwiny lub beznadziejnego gniewu. Nie wpojono wam miłości, która podnosi każdy kamyczek ku słońcu, by zażyć na nim tęczę blasków, która z martwego ziarna wyprowadza kwiaty, która z mgławic światy buduje, a unadłego podnosi do dostojności ludzkiego i ludzkość zbliża do Boga — mówił ks. Kordjan.

Stefan zamyślił się. Chwilę trwał w milczeniu. Ks. Kordjan z troską spoglądał na twarz swego gościa, jakby szukając na niej śladów tych przeżyć szarpań i wątpliń, które opanowały duszę Stefana. Mimo bowiem postępu jego zabiegów, życie nie oszczędzało mu różnych drobnych ukłód, przeszkód, szukan z głupoty i ze złośliwości ludzkiej płynących, które stawiały przed oczyma pytanie: „Poco to wszystko! Komu się to przyda? Kto tego potrzebuje?” Chwilami całe jego przedsięwzięcie wydawało mu się zupełnie nierealne, ha, wprost niedorzeczne, idące naprzekór pragnieniom i dążeniom wszystkich. Przecież i Maria nie umiała znaleźć w jego działalności nic takiego, coby go mogło usprawiedliwić i dla niej było to niedorzecznym społecznikostwem, przez które gołemi rękoma wyrzeźbował dla innych kasztany.

— Księżu Kordjanie — podiał Stefan — przychodzi na mnie chwile rozterki, kiedy gubie się na rozstaju prawdy i kłamstwa, dobra i zła, słuszności i nie-

slusznosci. Czuje się wówczas bezradnym, a cały mój wysiłek jakimś syzyfowem zamierzeniem. Kamień sprawy społecznej, który dźwigam na szczyty, nagle z łaskotem i szatańskim przekornym chichotem spada na dół, przetrącając mi nogi.

Widzę potem siebie leżącego na nędznym rumowisku własnego dzieła. Jabłka Hesperyd nie dla mnie — i z uśmiechem goryczy przypomniał sobie ową pierwszą chwilę, w której podjął dzieło. Czyżby Sara miała rację, mówiąc, że cel jego nie da się osiągnąć.

— Panie Stefanie — mówi ks. Kordjan. Wiary trzeba, a ona cuda czyni, góry przenosi i Polskę przemiesza do Afryki... Wiary trzeba, która płynie nie z przeświadczenia we własne siły, bo słaby jest i ułomny człowiek, ale z ufności w moc Bożą, ze zdania się na Jego wolę. A ten, który rządzi biegiem gwiazd, zaopiekuje się i dziełem pańskim, jak opiekuje się każdym dobrem dziełem, które płynie z bezinteresownej miłości bliźniego.

— Niestety, splugawiono mi moje dzieło. Spotwarzono mnie, wdeptano w ziemię wszystkie uczciwe intencje, dopatrzono się prywaty, chęci osobistego zysku. Wrogowie moi w swej przebiegłości uderzyli w to, co mam najwrażliwsze, w me sumienie. Czy czytał ksiądz Kordjan artykuł dzisiejszy w „Złotym kogucie“? Stefan potrząsnął gazetą:

„Najbliższe otoczenie naszego wybitnego działacza społecznego, dra. Ż. ze smutkiem obserwuje dziwne zmiany w jego usposobieniu. Nasz bohater narodowy dziwnie jest melancholijny, zgąsły jakiś, osowiały. Jego przemówienia nie mają już tego zapału, którym ongiś porывał tłumy. Mówią wśród jego otoczenia, że nasz dr. przeżywa jakąś głęboką tragedię wewnętrzną. Straciłem wiarę — miał się zwierzać jednemu ze znajomych — w realność mego przedsięwzięcia. Nie mam odwagi przyznać się do tego, gdyż przedewszystkiem chodzi tu o byt mój i rodziny, pozatem (niezrównane jest to pozatem) los instytucji i powierzonych jej finansów, które w razie mego przedwczesnego wycofania się mogłyby zostać narażone. Tak, jak dziś sprawy stoja, jestem na czele tow. kolonizacji Afryki — nie posiadając ani doniczki ziemi afrykańskiej, ani też wido-ków na jej zdobycie.

Trapi mnie to wszystko. Sumienie mię dre-czy. W czasie mych stosunków z amerykańskimi filantropami z misji metodystycznej nauczyłem się realnego ujmowania akcji społecznej. Nie znoszę humbugu i stad ta moja rozterka wewnętrzną. Wie pan, tylko w katolickim społeczeństwie można z powodzeniem zarabiać na nierealnych interesach, okrytych płaszczem wspaniałomyślnej dobroczynności, pod którym krwie się trad prywaty — zakończył swą spowiedź publiczną dr. Ż., zakroniwszy ją kieliszkiem wina wysokiej marki. Melancholijny uśmiech ironji opromienił oblicze naszego Afrykańczyka“.

— To podłość! — zawołał ks. Kordjan.

— To jest przedewszystkiem hardzo zreczne, odparł Stefan. Autor tej insynuacji jest nielada psychologiem. Dotknął trafnie szeregu bolączek zarówno tej „afrykańskiej sprawy“ jak i mego do niej stosunku. Lecz co jest rzeczywiście ważne — jest we mnie jakieś dziwne zniechęcenie i brak wiary, gdy widzę jak te podszczuwania paraliżują niejedno moje posunięcie.

— Panie Stefanie! to są wszystko drobnostki. Na ścieżkach, które wiodą w górę, muszą rosnąć głogi.

— Zapewne, ale gdy cierń utkwi głęboko aż pod sercem, gdy ugodził w naszą godność, to trudno jest to ścierpieć.

— Panie Stefanie! Zna pan Ewangelję i ten werset o drugiej mili lub o policzku? Nie wolno się zrażać potwarzą, ani zniewagą. Przykróść tę należy schować dla siebie, a pogodę ducha mieć dla sprawy. Przecież wszyscy rozumni ludzie ufają panu. A któż tam pamięta o przeszłości wobec nowych zasług. Czynem zadaj pan kłamstwo swym wrogom! Wolno błędzić każdemu, byle z błędów się podnieść.

— Ale właśnie w tem jest krzywda, że mówią o mej przeszłości jako o błędzie — zachnął się Stefan. Zawsze reprezentowałem czystość myśli i zawsze szedłem jako apostoł. A przecież apostołować nie można wśród owieczek, jeno wśród wilków.

— Tak, tak — stropił się ks. Kordjan. Lecz ludzie nie sądzą według intencji, lecz według zewnętrznych przejawów. Kto wchodzi w błoto, ten chce się obłoczyć — mówią.

— Ten chce przejść na drugą stronę — rzekł ostro Stefan.

— Zapewne, zapewne... Niech więc pan nie zważa na tych, co rzucają nań błotem.

Stefan pożegnał ks. Kordjana, mimo wszystko niezupełnie uspokojony.

IX.

Berlin.

Nowoczesny Babilon. Wśród szarych koszarowych linii domów, wśród tłumu obrzydłych pomników tłoczy się wielomilionowa liczba ludzi o płaskich twarzach i płaskich duszach. Wszystko to śpieszy, przyodziane szablonowo, niby manekiny Tietza czy Wertheima. Wytwarza się straszliwy standard ludzkiej pospolitości zewnętrznego wyglądu.

A wewnątrz, w duszach?

Idzie na duszę niemiecką atak hitlerowskiej doktryny, nowej religii rasy. Rasa germańska ma obiać panowanie nad światem. Naród niemiecki jest świętością, przed którą winny się pokłonić wszystkie ludy świata. Naród niemiecki, to armia nowego porządku społecznego, to rycerze Walhalli, sługi Wotana, którzy w triumfie obniosą po świecie liście świętego dębu i żagwie ofiarnego ogniska. Coprawda, gdyby bogowie Walhalli spojrzeli na te ludzkie automaty, na te twarze „bohaterów“ z pod znaku hackenkreuz czy młota i kielni — bez wyrazu, tępe, bezmyślne w swem zacietrzewieniu, to splunęliby z obrzydzenia.

Lecz bogom niemieckiej rasy zabrakło już widać śliny — żaden wiec grom nie spada na sfanatyzowane głowy motłochu, który w tych lub innych zaułkach, na uniwersytecie, na ulicy, w kawiarni urządza bójki: dla wprawy przelewając krew współbraci, również ogłupionych przez wysłanników innej szatańskiej spółki do siania zamętu z centralą w Moskwie.

Przedwojenny pruski feldfelbel znalazł nowe wciele-nie w przywódcach różnych bojówek, którzy hasło „Deutschland erwache“ lub „Proletariatsfront“ używają z równą bezczelnością, a bez głębszego przekonania.

A w eleganckich salonach modnie wystrojone panie poddaia się dreszczom grozy.

— Rewolucja idzie.

(D. c. n.)



Ks. Biskup Karol Niedziałkowski.
mal. A. Borawski.

Rozpoznanie portretu ś. p. Stanisława Kostrowickiego, wystawionego anonimowo w Zachęcie, rozbudziło wśród dużego grona osób przybyłych po wojnie z Petersburga tyle wspomnień... Wraca się myślą do czasu, kiedy to Polaków na obczyźnie ogarniał niepokój o losy Polski, — gdy wzmagała się tęsknota i radość w nadziei przedkierowanego do ojczyzny powrotu. A wraz z tem stałe dziś przed oczami ta oto praca Aleksandra Borawskiego, niezwykła pod względem swego znaczenia historycznego, — wykonana w Petersburgu r. 1914.

P. Borawski, przerzucony ciężkim losom na bruk obcy, w r. 1891, umiłował wszystko to, co jego rodaków tam przebywających wyróżniało na polach nauki, sztuki, obrony praw polskich, ocalania imienia polskiego od plam, apostołowania zasad najszlachetniejszych wśród kolonji polskiej, prawdziwie chrześcijańskiej ofiarności dla dobra współbraci, zjednoczenia się w pracach dla dobra Polski.

Pogłębiając swoją wiedzę o zasługach Polaków w Rosji, odczuł nieuzasadnioną obelgę, rzuconą przez prof. Stanisława Grabskiego w artykule drukowanym w „Kur Warszawskim” około r. 1910, zawartą w słowach: „to renegeci”.

Wtedy to postanowił odpowiedzieć w sposób bardzo prosty, a dla plastyka dostępny.

Przygotowaniem galerji portretowej, mającej objąć choćby część najwybitniejszych jednostek z końca w. XVIII, poprzez cały wiek XIX i aż do ostatnich dni pobytu swego w Rosji.

Galerja ta miała się powtórzyć w ilustrowanem dziele historycznem, w którym, na tle życia Rosji w owym czasie,

Z PETERSBURSKICH

przesunęłaby się dusza polska z jej miłością państwową i kulturalną.

P. Borawski, przystąpiwszy w r. 1914 do malowania i rzeźbienia owej galerji, rozpoczął od osobistości wówczas działających; gromadząc jednocześnie odnośne materiały do odtworzenia podobizny rodaków zmarłych, a także zajął się zbieraniem wiadomości o ich stanowisku na poszczególnych polach.

Przy udziale swego syna Zygmunta, te ostatnie zbierane materiały, już same przez się świadczyły i zachęcały do włożenia najdalej idących usiłowań w podjęte dzieło. Ono miało rzucić światło pierwszorzędno znaczenia na życie Polaków w Rosji, — wydobyć bardzo dużo cennych wiadomości, ocalając dla historii wiele z tego, co każda jednostka z tajemnic swoich i wiedzy unosi do grobu.

O ileby podobna akcja powstała i była dokonana i w innych państwach, gdzie Polacy w rozsypce ziarnem swem umacniali i rozszerzali wszechświatową kulturę i cywilizację, a w poszczególnych państwach zajęli wprost wybitne stanowisko, to jakże cennym okazałby się tego rodzaju obraz w dziejach polskiego ducha.

Przygotowywana w Petersburgu galerja, po przeniesieniu do Polski, miała być przedstawioną odnośnym sferom, któreby zdecydowały — zaliczenie jej częściowe, lub całkowite, do jakiegoś, może specjalnego, zbioru państwowego. Ten dla narodu dar, bez zwrotu wydatków, był wykonany w połowie kosztem autora.

Niestety, cały wysiłek p. Borawskiego przepadł, uległszy zatraceniu po jego wyjeździe z Petersburga w grudniu 1918 r. I żadne podejmowane starania nie wyjaśniły na-



Ks. prałat Idzi Radziszewski.
mal. A. Borawski.

WSPOMNIENIE...

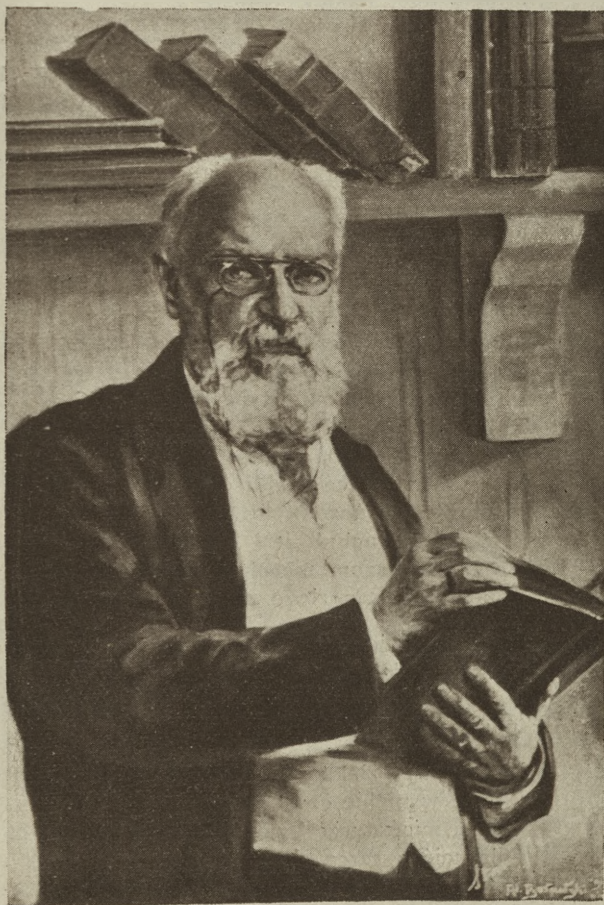
wel. co się z tym zbiorem stało. A jednak, składał się on wówczas z 50 już portretów.

Od tego czasu szereg osób, których podobizny weszły do onej galerji, straciliśmy z oczu naszych, dość wymienić: ks. arcyb. Cieplaka, ks. Budkiewicza, ks. Radziszewskiego (ostatniego rektora Ak. Duch. w Petersburgu, a pierwszego rektora Uniwersytetu w Lublinie); prof. Baudouin'a de Courtenay, Petrażyckiego; adwokatów Olszamowskiego, Kostrowickiego; posłów Dymszą Święcickiego, Glezmera, wieloletniego prezesa Ogniska pol. Al. Babjańskiego, artystkę opery hr. Brochocką-Bolską, — a jeśli do tego dopisać choćby prof. Tadeusza Zielińskiego, ks. b. pa. Antoniego Maleckiego, pozostającego dotychczas w Rosji. — to wystarczy do zrozumienia, jakie to, na początek, jednostki weszły do owej galerji, doprowadzonej w r. 1918 do 50 portretów.

Wracając do portretu ś. p. Kostrowickiego (jedyne z tego straconego zbioru), — który przybył z Petersburga wraz z księgozbiorem zapisanym testamentowo T-wu Przyjaciół Nauk w Wilnie, dowiadujemy się z wywiadu p. Zygmunta Borawskiego, z r. 1914, że ś. p. mecenas Kostrowicki, unikając wszelkiego rozgłosu zastrzegł nieujawnianie dążeń i uczuć przed jego śmiercią. Ur. w gub. Mińskiej, wykształcenie średnie i uniwersyteckie przeszedł w Petersburgu. Stałe podróżując po Europie, 2 razy do roku zaglądał do Petersburga, gdzie, jako adwokat, bronił



Ks. Biskup Longin Żarnowiecki.
mal. A. Borawski.



Prof. Stanisław Ptaszycki.
mal. A. Borawski.

spraw polskich i litewskich, oddając krajowi poważne usługi. Nie przyjmując czynnego udziału w życiu społecznym i politycznym, szukał zetknięcia ze wszystkimi warstwami, od najwyższych do rzemieślników i ludu na roli. Rozpoznanie potrzeb tych ostatnich sfer, wpłynęło na określenie fundacji przekazanej Akademji Umiejętności w Krakowie, w sumie 240 tys. rubli (w r. 1914), do rozporządzenia na cele oświatowe i ekonomiczne Macierzy Szkolnej w Cieszynie T-wu Czytelni Ludowej w Poznańskim, czytelni na Kaszubach, potrzebom Mazowsza i w poważnej części potrzebom Litwy i Białej Rusi.

Był członkiem honorowym wileńskiego T-wa Przemysłu drobnego, założycielem czytelni ludowych na Kaszubach, członkiem założycielem Macierzy Polskiej w Petersburgu i Cieszynie, oraz biblioteki publicznej w Warszawie, jednym z fundatorów Domu Polskiego w Gdańsku, członkiem honorowym kolonji nieletnich w Warszawie, członkiem ofiarodawcą Towarzystwa Naukowego w Warszawie i in. Zmarł w Petersburgu r. 1918.

Z ocalałych portretów, malowanych w Petersburgu przez Aleksandra Borawskiego, pozostały podobizny następujące:

Ks. biskup Karol Niedziałkowski w łódzkiego rektora Rz. Kat. Akademji Duchownej, malowany w r. 1900; ks. biskup Longin Żarnowiecki w odtworzonej rektorskiej łódzkiej Skargi, malowany w r. 1910; ks. prałat Idzi Radziszewski, ostatni rektor Akademji Duchownej w Petersburgu, pierwszy rektor Uniwersytetu w Lublinie, malowany w r. 1915; Stanisław Ptaszycki, do r. 1918 profesor Akademji Duchownej i Uniwersytetu w Petersburgu, tamże — prezes Polskiej Macierzy Szkolnej, ostatnio dyrektor Archiwów państwowych w Warszawie, malowany w r. 1914 w Petersburgu.

JÓZEF ST. CZARNECKI.

UCZTA NA ZAMKU

Zaczęła się uczta.

Jadwiga już poprzednio nakazała, by przyjęcie wypadło jak najwspanialej. Córce króla Węgier, co więcej miał w intytlucacji księstw i włości niż wszyscy pozostali królowie Europy, o którego względy zabiegał nawet sam sułtan turecki, nie wypadało siadać do lada jakiej biesiady.

U stołu zgromadziło się najprzedniejsze towarzystwo, znane już z poprzednich uroczystości. Był więc i siwy jak gołąb Jaśko z Tęczyna, zachwycający wzór dostojnej starości, istny patriarcha z białą jak śnieg brodą, był najpiękniejszy z pośród polskiej młodzieży rycerskiej Spytek z Melsztyna, był Dymitr z Gora'a, którego ojcowskie przywiązanie do Jadwigi pomieszane z obywatelską troską doprawdy wejść winno w przysłowie: „wierny królowi i koronie, jak Dymitr z Gora'a”. Byli oczywiście wszyscy dostojnicy Kościoła z prymasem gnieźnieńskim Bodzantą i kardynałem-legatem na czele. Był także kanonik katedry wawelskiej ks. Wysz, któremu przypadnie z czasem rola powiernika duchownego królowej.

Przy olbrzymich stołach, ustawionych w podkowie, siedzą panowie duchowni i świeccy, rada koronna, rycerze, panie i panny dworu królowej. Purpura i fiolet dygnitarzy kościelnych mieszały się z karmazynem i soczystą zielenią szat powłóczystych i szub świeckich. lamowanych drogocennymi futrami sobolemi i lisiami; na tem ciemnym tle jaśniały niby kwiaty na łące strojne dwórki, przeważnie ubrane w modre, srebrzyste lub pozłociste suknie, oblekające szczerlnie wiotkie kibicie, na włosach czepce lub korony z kwiatów, a wreszcie diademy ozdobione cennymi kamieniami... Pośrodku tego świetnego grona, niby ko'ja w diademie, królowała Jadwiga, przykuwając oczy pięknoscia oblicza, rozradowana, wspaniała, szczęśliwa, dumna i zachwycająca.

Gwar rósł wśród zebranych. Okrzykiem powitano wniesione przez służbę iadło. Na olbrzymich misach i talerzach, niesionych na głowach, dymity całe półcie lub ćwiartki cielęciny, wołowiny i baraniny. Na innych drób wszelaki. indyki, gęsi, kuropatwy i bażanty w pełnem upierzeniu, specjalnie sprowadzone na tę wielką ucztę. Czterech pacholków niosło na olbrzymiej misie pieczoną sarnę, kunsztownie przybrana.

Biesiadnicy z hałasem rzucili się ku iadłu, każdy własnym nożem odcinał kawał mięsa, niektórzy rwali je poprostu palcami. Wkrótce izba napełniła się odgłosami żucia, wcale głośnego mlaskania, będącego wymowną pochwałą kucharza, przycichły nogwarki, każdy zajął się nasycaaniem głodu, który wśród tych wielogodzinnych uroczystości dał się już we znaki.

Kości obgryzione rzucano psom, co z warczeniem uwijały się między nogami biesiadników, walczac o sutsze kąski i ochłapy.

Królowa ukroiła też kawałek indyka i powoli zaczęła go kęs po kęsie spożywać, z pobłażliwym uśmiechem rozglądając i wsłuchując się w przejawy łapczywości zgłodniałych ojcyców narodu.

Wkroczyli także podczaszowie, niosąc dzbany z winem, za nimi tłum pacholków, każdy z naczyniem pełnem cennego najoju: węgierskich win wytrawnych i słodkich — te dla pań — miodów syconych, piastow-

skich. Znalazło się kilka dzbanów falerna — specjalnie dla najdostojniejszych gości.

Zaczęto napełniać kubki, puchary i roztruchany i wychylać do dna, znów buchnął przez salę gwar. Rozwijały się języki, posypały się żarty, przekomarzenia z pannami. Nastrój zaczął się podgrzewać, jak zwykle po dobrem jedzeniu i mocnym napitku.

Wśród biesiadników uwijały się błazny, wśród których rej wodził skomoroch Gniewosza. Pokraczna ta stwora zadziwiała swą obrotoscia; wślizgiwał się wszędzie niewądomo jak i każdemu do ucha, tak, że dziesięciu obok słyszało, prawil jakiś trefny żart albo przygadanke.

Wystąpił wreszcie na środek sali i brząknawszy w lutnię zanucił:

Uderzam dziś w wielki ton,
Radości pieśń światu pieję.
Oto ziściły się nadzieje.
Bije wesela dzwon.
Witajmy królową wśród nas.
Serdeczna niech zabrzmi nuta.
Wreszcie minęła chwila luta.
Nastał znów lepszy czas.
Więc bierzmy puchary w dłoń.
Niech radość z lic nam powieje.
Minęła noc, wraz rozednieje.
W laur dziś strójmy skroń.

Na sali słuchano w skupieniu tej pieśni, lecz śpiewak przerwał na chwilę i ustroiwszy twarz w grymas ironji, przypieszyszy rytm, tak ciągnął:

Prawda błaznem jestem ja.
Cóż z tych pochwał mojej pieśni.
Ten dzionek też się szybko prześni.
Choć szczęściem serce drga.
Uderzmy więc w inny ton.
Niech zmiłknie śpiew, co zapala.
Moich błazeńskich dzwoneków fala
Zastąpi wielki dzwon.
To słońce, co płonie dziś.
Rak zbyt wiele ludzkich kusci.
Każdy słońeczko posiaść musi.
Więc drzyj serce jak liść.
Królowa, wieńczona tu,
Zbyt wielu rachub jest chluba.
By rachmistrzom nie stała się zguba.
Zbudźmy ich z złego snu.

Ostatnie słowa śpiewaka zostały przyjęte szmerem. Zaczęto domwślać się celu tej pieśni, zbyt wvważnie mówiła o rachubach, zapewne czyniac napomknienie do pomysłów panów koronnych.

Wspomnij (złeku prawdę mą:
Słońce w niebie czystem świeci.
Czystą mieć duszę trza jako dzieci.
Odrzucić z serca zło..
Z tego co błazn gwarzy
Prawda przypadkiem wyniknie.
Że niejedem przerażon krzykiem.
Gdy ręce swe sparzy.

Więc nie smućmy tego dnia,
 Nie chmurzmy słońka na niebie.
 Wszystko królowo dziś dla ciebie
 Niechaj tu szczęściem gra.
 Radości nie zmaci gniew.
 Gdy rozum przywoździć będzie.
 Na tem zakończę me orędzie.
 Zbyt wielu marszczy brew.

Uklonił się z ręcznie i potoczył jak kula gdzieś w kąć zadowolony z wrażenia swej pieśni.

W izbie znów powstał gwar. Ten i ów zaczął zastanawiać się głośno co też skomoroch miał na myśli, do kogo pił.

— Do królowej — rzecze Jaśko. Błaznom wleci uchodzi, ich rzecz mówić trefnie prawdę ku rozveseleniu gości. Ten łotrzyk, przecie, zasępił wszystkie twarze.

— Nie w smak wam, że ostrzegał, aby nie brać słońka gołemi rękoma — śmieje się królowa szczerze. Pozwiczcie mi tu tego wesołego zuchwalca, niech go ukarzę.

— Skomorochu, dawać skomorocha! — odzywają się głośno. Królowa wzywa.

Wyciągnięto go gdzieś z kąta, wypchnięto na środek sali.

Podreptał przed królową, pokłonił się w pas.

— Wybacz, miłościwa pani, swawolnej gębie skomorocha. Ot plotę, pleciuga, nie pomnając, że ręka pańska długa, jak dosięgnie, to zaraz uleci wszelka myśl płocha.

— Nie tłumacz się — rzecze Jadwiga — i tak cię nie minie... przebaczenie. Tylko nie doskwieraj zbyt dużo ludziom swą prawdą.

— Prawda jak róża — mówi błazen — choć pachnie, ale i kole...

Tymczasem gwar i ochota znów wzmogły się na sali.

Skoczna muzyka kapeli podsycala radość i wesele, które, zda się, mogłoby dziś rozsadzić ściany starego piastowskiego dworzyszczca.

Rozgwar pełen wesela i ochoty unosi się w powietrzu. Radują się wszyscy, bo jakże się tu nie radować. Dopięto oto wielkiego celu. Ukoronowano króla, który nie będzie więcej ojcymem, jak Ludwik, ale ojcem krajowi, który tu pozostanie wśród murów Wawelu i rządzić wprost będzie wiernym swym ludem. Wzbrane uczucia domagają się ujścia. Powietrze drży więc od okrzyków i krótkich wiwatów.

Arcybiskup Bodzanta wstał z kielichem w ręku, by spełnić toast:

— Naród polski długo czekał na tę chwilę, by powitać w murach Wawelu swego króla — była w tem lekka aluzja do zaniedbania Ludwika, który w Polsce nigdy się nie zjawiał. — Trudno jest wysłowić całą radość, która przepełnia nasze serca, całą miłość i przywiązanie, jakim od pierwszej chwili zapałał się do was, miłościwa pani (miłościwa pani uśmiecha się akurat prawie dziecinnie, spoglądając z pewnego rodzaju zdziwieniem na to dostojne grono co się tu gwoi jej właśnie zebrało. W krwi ma, to prawda, królewskość i zrozumienie należytej pomazańcom czolobitności, ale z tem wszystkiem z wieku jest przecie dzieckiem, a wiek ma także swoje prawa). Wielka nadzieja wstępuje w nasze serca — ciągnął dalej dostojny mówca — tuszymy sobie, że rozpoczęły się z twem przybyciem,

królowo, nowe, lepsze czasy, że naród nasz odnalazł w twej osobie jedność państwową i zrozumienie swych przeznaczeń dziejowych.

Długo jeszcze w tym duchu przemawiał dostojny biskup, kończąc rzecz swą okrzykiem:

— Królowa, pani nasza, Jadwiga — niech żyje!

Zda się, że mury zamkowe rozpęknać się powinny od potężnego okrzyku, jaki wydobyły piersi zebranych.

Królowa z rumieńcem na twarzy dziękowała skinieniem głowy za tę manifestację.

Napięcie radości tego dnia osiągnęło swój zenit.

Na chwilę zapanowała cisza. Skorzystał z niej Gniewosz, który zarówno w katedrze, jak i tu na zamku był obecny i brał udział w uroczystościach, obserwując z ubocza a pilnie wszystko, co się działo. Widać czekał stosownej sposobności, aby wykonać z należyty skutkiem i wrażeniem swój zamiar.

Chwila była utrafiąta dobrze.

— Królowo i pani nasza — zaczął, występując naprzód — wielka to i radosna chwila dla nas i narodu polskiego a także i dla ciebie, pani. Doprawdy nie wiadomo, co by tu jeszcze przydać dla jej uświetnienia, a twego zadowolenia. Wydaje mi się rzeczą ze wszechmiar stosowną, abyśmy wzniesli tu zdrowie dostojnej pani, królowej-matki, Elżbiety. Królowa-matka niech nam żyje!

Jadwiga wdzięcznym okiem spojrzała na tego, kto umiał jej w tej chwili tak utrafić w myśli, kto nietylko prawil o obowiązkach, ale i wspomniał o tem, co było jej najdroższe.

Wrażenie tych słów było oczywiście jak najkorzystniejsze. Gniewosz urósł nietylko w oczach królowej, ale i całego zgromadzonego rycerstwa.

Zgodnym chórem podniesiono kielichy i zakrzyknięto z serca:

— Niech żyje!

Pan z Dalewic powiódł triumfalnym wzrokiem dookoła, badając grunt, jakby chcąc zapamiętać sobie wyraz twarzy obecnych, by go za chwilę porównać po dalszem swem przemówieniu.

— Skoro uczciliśmy szlachetną macierz, która tak nadobny i duchem szczytny wydała owoc, godzi się teraz pozdrowić imię tego, któremu pani nasza Jadwiga dozoną ślubowała miłość, przecz to przysły nasz król i władca. Książę Wilhelm rakuski niech żyje!

Tego się tu nie spodziewano.

Słowa Gniewosza padły jak grom z jasnego nieba.

Oczywiście liczyli się panowie senatorowie z koniecznością wysunięcia i to w najbliższym czasie sprawy Wilhelma, spodziewali się nawet niemałych w związku z tem trudności, przedewszystkiem ze strony samej królowej, alisci nikt nie zamierzał poruszać tej sprawy właśnie dziś, a tembardziej nie liczył się z możliwością wypłynięcia jej w takiej formie.

Cisza, jaka zaległa, była na lepszym sprawdzianem niespodzianki.

Gniewosz zaskoczył wszystkich. Na potężniejszy cios miał jednak dopiero w następnej paść chwili.

— Książę Wilhelm niech żyje! — powtórzył Gniewosz — umyślnie uczynił tu pauzę, a następnie zwracając się do królowej Jadwigi, co z pobladłem obliczem i rozszerzonymi źrenicami weń się wpatrywała, porażona i zgaszona, rzekł:

(Dok. nastąpi).

TRUSKAWIEC

(ZARYS DZIEJÓW).

Pierwsze wzmianki o tem słynnem już dziś nietylko w Polsce uzdrowisku, — giną w pomroce dziejów. W przywilejach miasta Drohobycza z r. 1525 i 1631-go oraz w aktach lustracji z 1765 r. przy wymienianiu żup sojnych — spotykamy się z nazwą tej miejscowości, zwaną wówczas bądź Truskawice, albo też Truskawicz, — wreszcie Truskawiec.

Osada ta leży we Wschodniej Małopolsce na stoku Stryjskich Karpat w pobliżu słynnych szybów naftowych Borysławia, — na terenie obfitującym w źródła słone.

Za czasów dawnej Rzplitej były tu liczne saliny, o czem świadczą stare kroniki, które już w XI stuleciu wspominają o salinach w Drohobyczu. Po trzecim rozbiore rząd austriacki zniszczył te warzelnie.

Odkrycie źródeł słonych w Truskawcu zawdzięczamy podziupnikowi Heckerowi ze Stebnika, który w r. 1810, poszukując minerałów: galmu, cynku i ołowiu, przy kopaniu szybów natrafił na obfite źródła siarczane. Wody te wkrótce ludność miejscowa poczęła używać do kąpiei leczniczych. W owym czasie Truskawiec był małą osadą, gdzie prócz warzeln, kilkunastu chat wieśniaczych, leśniczówki i probostwa grecko-katolickiego, nie było ani żadnych domów mieszkalnych ani urzędów kąpielowych.

Gdy jednak rozeszła się sława o skuteczności tych kąpiei, — i pacjenci zaczęli zjeżdżać nawet z Bukowiny, — Zarząd dóbr państwowych zaczął budować przy karczmi rządowej izby dla użytku kąpielowego. Wkrótce zarządca domów państwowych, Józef Micewski, wyjednał zezwolenie na wybudowanie stałych łazienek o 8 kabinach, oraz domków dla kuracjuszków. Stało się to w 1827 r. i rok ten uważa się za datę powstania uzdrowiska Truskawiec. Pomimo trudności, jakie czynił rząd austriacki, który, obawiając się konkurencji — dla swych uzdrowisk, wcale nie pragnął rozwoju Truskawca, — Micewski nie ustawał w pracy. On to w r. 1842 odkrył słono-gorzkie źródło Marji, a w dwa lata źródło Zofji na wzgórzu Kamiennoj Horb.

Pierwszym lekarzem kąpielowym był dr. Turek, który, poczynawszy od 1849 r., wydawał sprawozdania kąpielowe. Pierwsza broszura o Truskawcu d-ra Trompetera ukazała się w 1860 r. Około 1861 r. pojawiły się pierwsze wzmianki w czasopismach lekarskich o źródle Bronisławy, bardzo skutecznem w chorobach krtań i gardła. W tym czasie zakład posiadał już 13 domów ze 120-ma pokojami dla gości, oraz 14 prywatnych dworców, odbywały się tu zabawy, bale, grywała kapela zakładowa.

W r. 1859 powstaje kaplica rzymsko-katolicka, która z czasem w r. 1910 została staraniem proboszcza z Drohobycza, k. Jana Szałyki, przebudowana i zamieniona na przemiły kościółek, górujący obecnie nad wjazdem do parku w otoczeniu prześlicznych smreków i modrzewi.

Na starych litografiach z 1850 r., znajdujących się w posiadaniu obecnego Zarządu, widzimy ciekawy obraz ówczesnego zakładu: panie w krynolinach, panowie w cylindrach spacerują koło fontanny (obecnie nieistniejącej), słuchając popisów kapeli w fantastycznych strojach.

Z tych czasów żyje jeszcze stara lipa, rosnąca obok cerkiewki.

Truskawiec bardzo wiele zawdzięcza opiece hr. Agnora Gołuchowskiego i hr. Russockiego.

Niestety po powstaniu styczniowem w r. 1864 uzdrowisko przeszło w ręce spółki żydowskiej, która zaniedbała je zupełnie, prowadząc jedynie rabunkową gospodarkę w otaczających je lasach i dopiero, gdy w r. 1882 odkupiła Truskawiec spółka obywatelska, ks. Sapieha, Sanguszko, Żółtowski i Zamoyscy, zaczęła się on szybko dźwigać z upadku i rozwijać coraz pomyślniej. Powstają nowe gmachy, łazienki o 60 kabinach, zbudowano szereg nowych willi, hoteli, etc. W r. 1892 staje budynek inhalacyjny systemu Wassmutka a zakład rozporządza już 560 pokojami. W r. 1895 Truskawiec zostaje oddany w dzierżawę inż. Wyszyńskiemu, człowiekowi wielkiej energii, któremu zakład zawdzięcza szereg znakomych inwestycji. Przedewszystkiem inż. Wyszyński wielkim kosztem wykupił od właścicieli ich osiedla i grunty, a tereny te włączone zostały do parku, dzięki czemu oczyścić i uporządkował okolicę źródła Naftusi, na uzyskanych zaś parcelach zbudował restaurację, mleczarnię etc., oraz stworzył place do zabaw.

Potok płynący przez środek dzisiejszego deptaku nakrył betonowym kanałem, a przez obsadzenie drzewami drogi do źródeł: Bronci, Zosi i Marysi stworzył przepiękną aleję spacerową, zakończoną wspaniałym angielskim parkiem zwanym Adamówką, na cześć Adama ks. Sapiehy. W parku tym znajduje się stylowy deptak, a na skwerze wzniesiony został pomnik Mickiewicza dłuta art.-rzeźbiarza Barączka. W alei spacerowej na wysokim kopcu znajduje się prześliczny posąg Matki Boskiej, ufundowany przez wdzięczną kuracjuszkę hr. Badeniovą.

W r. 1911 Truskawiec nabyła nowa spółka: Rajmund Jarosz, dr. Fränkel, dr. Otowski i hr. Resseigneur, która bardzo energicznie i umiejętnie zabrała się do pracy, aby postawić uzdrowisko na odpowiednim poziomie. Pomimo klęsk i szkód, jakie zadała Truskawcowi wielka wojna, zdołał on, dzięki swym kierownikom, dźwignąć się i obecnie jest jednym z najlepiej prowadzonych zakładów leczniczych w Polsce. Najbardziej pociągającą cechą tego uzdrowiska jest ogromna czystość, ład, cisza, spokój i doskonała organizacja, która sprawia, że kuracjusz czuje się tu najważniejszą osobą, mającą nietylko obowiązek płacenia, ale posiadającą pełnię praw i przywilejów. Dzięki czemu czuje się on osiłą, dokoła której obraca się całe życie tutejsze, ściśle do jego potrzeb i celów leczniczych przystosowane.

Truskawiec, który jako zakład leczniczy istnieje przeszło od stulecia; jest też b. hojnie od natury wyposażony. Największą jego atrakcją jest jednak przedewszystkiem synne źródło „Naftusia”, będące swego rodzaju fenomenem balneologicznym i działające wprost cudownie w chorobach przemiany materji, zwłaszcza wszelkich cierpieniach nerkowych. Dużą też popularnością cieszy się „sztuczne morze”, czyli wielki basen słonej wody na Pomiarkach z piaszczystą plażą, urządzoną z dużym nakładem na wzór prawdziwych wybrzeży morskich.

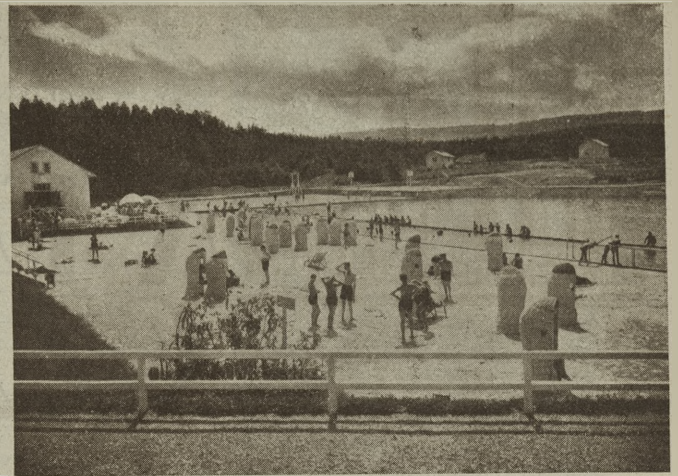
Truskawiec malowniczo położony (405 metrów nad poziom morza), otoczony wieńcem gór, pokrytych lasami iglastymi, klimat ma łagodny, zwłaszcza stosunkowo duża ciepłota panuje tu na jesieni. Sam zakład tonie w powodzi kwiatów. Barwne, ślicznie utrzymane kwietniki, mnóstwo palm, dracen, tworzą estetyczne widoki, przypominające obrazki z Monte Carlo i Nicei.

Z. G.

NOWINY ZE ŚWIATA



Truskawiec. W parku.



Truskawiec. Na plażę.



Katedra św. Piotra. Wyświęcenie kapłanów.



Citta del Vaticano. Most kolejowy. <http://rcin.org.pl>



Gdynia. Wycieczka Ligi Morskiej. Pośrodku stoi p. red. Lucyna Kotarbińska.



NA PALACACH CZASU

Skrytykowany ostro w artykule Mussoliniego system konferencji międzynarodowych zdaje się dobiegać końca. Po smętnym końcu konferencji londyńskiej zanoszą się na równie smętny koniec konferencji rozbrojeniowej w Genewie. Tak przynajmniej rozumieć trzeba sensacyjną wiadomość, że przewodniczący tej konferencji, Henderson, zdecydował się objąć stanowisko lidera opozycji w parlamencie angielskim, kandydując przy uzupełniających wyborach w okręgu Clay Cross, gdzie wpływy Labour Party tak są silne, że wybór jego nie może ulegać wątpliwości.

Ponieważ kierownictwo opozycji w parlamencie nie da się pogodzić ze stanowiskiem przewodniczącego konferencji rozbrojeniowej, będziemy mieli w jesieni przesilenie na stanowisku jej przewodniczącego, co ma poważniejsze znaczenie. Henderson był bowiem więcej, niż formalnym przewodniczącym tej konferencji. Był jej współtwórcą i entuzjastą. Rozbrojenie miało być wielkim dziełem jego życia, podobnie, jak dziełem życia Mac Donalda miała być pacyfikacja Europy i odrodzenie gospodarcze świata, lub dziełem Brianda Pan-europa.

Wszystkie te wielkie idee kończą się niepowodzeniem, rozczarowując swych twórców. Jeżeli obecnie Henderson decyduje się na porzucenie przewodnictwa konferencji rozbrojeniowej, to niewątpliwie dlatego, że przestał wierzyć w jej powodzenie. Decyzja jego nastąpiła po objęciu ważniejszych stolic europejskich, a zwłaszcza po konferencjach z Niemcami w Berlinie i Monachium, gdzie spotkał się z Hitlerem, oraz z Daladierem w Paryżu. Widocznie w tych konferencjach, wbrew oficjalnemu optymizmowi, przekonał się, że różnice poglądów są zbyt duże, ażeby można było liczyć na sukces sprawy rozbrojenia. Woli tedy zrezygnować z dzieła swego życia i wrócić do we-

wnętrznej polityki angielskiej, niż pa-tronować niesławnemu upadkowi wielkiej sprawy.

Nie należy przypuszczać, aby rezygnacja Hendersona oznaczała oficjalne zamknięcie obrad konferencji rozbrojeniowej. Prawdopodobnie nastąpią jakieś nic nie mówiące rezolucje i odroczenie, a tymczasem wypadki będą toczyły się dalej swoim



Ks. Biskup F. Lisowski w Truskawcu

torem. Kierunek nadadzą im Niemcy, które już dziś, choć los rozbrojenia jeszcze nie jest przesądzony, zbroją się gwałtownie wbrew pokojowym deklaracjom i Traktatowi Wersalskiemu...

W każdym razie decyzja Hendersona jest bardzo charakterystyczna dla momentu, który przeżywamy, okresu bankructwa tych zasad politycznych, które przyświecały twórcom Traktatu Wersalskiego i Ligi Narodów. Era Ligi Narodów i wielkich

konferencji kończy się. Co ją zastąpi? Niewątpliwie najpierw próba dyktatury wielkich mocarstw, oparta na pakcie czterech. Tej próbie nie rokujemy jednak powodzenia. Nie obejmuje ona bowiem całokształtu interesów światowych, a tylko właściwie interesy środkowej i zachodniej Europy i nic nie zapowiada, aby miała rozszerzyć się na cały świat. Tymczasem zaś polityka Europy powiązana jest jednak z polityką światową i nie trudno przypuścić, że taka Ameryka będzie nadal wywierać wpływ na bieg rzeczy w Europie.

Staruszka Europa ma coraz więcej kłopotów. Przedewszystkiem z powodu Hitlera. Prasa paryska podnosi gwałtowny alarm w sprawie sytuacji, wytworzonej na pograniczach niemieckich, na których agresywność hitlerowców wytwarza ostry stan zapalny. Z natury rzeczy najżywiej jest omawiany wypadek porwania trzech mieszkańców z terenu zagłębia Saary oraz nieustająca ofensywa przeciwko niepodległości Austrii.

O ostrości tonu wystąpień świadczy artykuł w „Journal de Débats”, zamieszczony pod niezwykłym tytułem „Bandytyzm międzynarodowy”. Autor bez ogródek mianem tem określa działalność rządu hitlerowskiego na terenach ościennych.

„Niedawno — pisze autor — bandyci z pod znaku swastyki uprowadzili trzech mieszkańców zagłębia Saary, w czym dwu narodowości francuskiej. Nieszczęśliwcy pozostają wciąż jeszcze w niemieckim więzieniu, jeśli do tej pory zachowali życie.

Następnie artykuł omawia sytuację w Austrii i stwierdza, że czegoś podobnego świat jeszcze nie widział. Hitlerowcy prowadzą istną wojnę przeciwko Austrii, urządzają najazdy lotnicze, prowadzą dywersję z użyciem bomb i granatów, wzywają ludność do rewolty, burzą pokojową pracę sąsiada. I to wszystko dzieje się — konstatuje autor — na oczach sojusz-

ników, pod bokiem Ligi Narodów, po podpisaniu paktu czterech.

Dalej „Journal des Débats” przytacza fakt najbardziej znamienity dla oceny bezczelnej zuchwałości hitlerowców. Cytuje mianowicie ogłoszony przez „Frankfurter Zeitung” komunikat o reorganizacji oddziałów hitlerowskich, mającej na celu podniesienie ich sprawności mobilizacyjnej. Oddziały te zostały podzielone na 7 grup okręgowych, odpowiadających podziałowi terenu Rzeszy, i ósmą, której dowództwo wyznaczono w Linczu w G. Austrii i której teren obejmuje państwo austriackie.

Poruszając ten sam temat Pertinax w „Echo de Paris”, zaznacza, że choć Dollfuss bohatercko się broni, jednakże piętrzą się przed nim coraz poważniejsze trudności wewnętrzne, z pośród których najgroźniejszą jest fala antysemityzmu, która coraz silniej rozlewa się w życiu austriackim. Artykuł swój Pertinax kończy stwierdzeniem, że najwyższy już czas, ażeby w ten niebywały skandal austriacko-niemiecki wdały się mocarstwa zagraniczne, do których Dollfuss bezskutecznie kołatac.

Po tych wielkich sprawach i aferych, w których potężni politycy usiłują w interesie swych mocarstw oszukać jeden drugiego, aż z ulgą czyta się o małych, zabawnych oszustwach. Policja w Pradze zajmuje się niezwykle wypadkiem hochstaplerstwa zwyczajnej służącej, która, podając się za księżniczkę Lichtenstein, wyłudziła od pewnego właściciela drukarni w Pradze przeszło 1 milion koron. Rzekoma księżniczka, recte Marja Binowa, posługiwała się fałszywymi listami księcia Lichtenstein, w których ten obiecał adoptować owego drukarza. Najciekawsze jest, że Binowa potrafiła występować w roli księżnej aż 7 lat, oszukując tak długo łatwowiernego obywatela z Pragi.



Red. Józef Czarnecki trzyma najmniejszą swą córeczkę, Scholastykę.

A więc strzeżmy się służących, które udają wielkie damy i strzeżmy się polityków, którzy oszukują jak pokojówki.

Są jednak kraje, które żyją poza sferą wielkich zagadnień, nie interesują się ani wojną chińsko-japońską, ani Ligą Narodów, ani rozbrojeniem, ani bytami książętami. Mają zato inne troski. Taka np. Turcja od chwili podjęcia przez Kamela Paszę reform społecznych i obyczajowych, ma wiele kłopotów z przełamaniem starych nawyków, a zwłaszcza wielożęstwa i systemu haremowego.

Zniesienie wielożęstwa w Turcji spowodowało zawieranie przed notariuszem „mażeństw ubocznych” Żonaty mężczyzna i jego wybranka udają się do notariusza i podpisują umowę wspólnego pożycia przeważnie na lat kilka. W Konstantynopolu zawarto takich mażeństw 400. Ponieważ mażeństwa te przyczyniały się do rozbięcia wielu rodzin, władze wydały okólnik do notariuszy, zabraniający spisywania podobnych aktów, nakładając na winnych bardzo surowe kary.

W polityce polskiej naogół spokój, po sukcesie z paktem wschodnim, po wizycie gdańskiej, po pożyczce angielskiej dla kolei moglibyśmy zasympiać nieomal na laurach, śniąc złoty sen o reformie Konstytucji, senacie z mężów 30.000, jak owi biblijni Machabeusze — wyobranym, gdyby nie.. Pomorze.

Niemcom nie daje ono spać, chcą je zagarnąć, a przez to, nam spędza sen z oczu.

Zastanówmy się więc, czy Pomorze jest „polskie”, czy „nie”? Sami Niemcy dają nam tu odpowiedź.

Tak więc Niemiec inż. J. Spelt wydał w r. 1910 mapę p. t. „Nationalitätenkarte der oestlichen Provinzen des deutschen Reichs”, gdzie pas ziemi na Pomorzu, ciągnący się od Karwi do Sopot, nosi napis: „ueber 85 polnisch”.

Niemiecka propaganda robi dziś wszystko, aby przekonać świat o swojej urojonej krzywdzie.

Jednakże, pomimo różnych prac naukowych i artykułów, które mają wybitnie antypolski charakter, Niemcom nie udało się obalić naszych argumentów. Niemcy sami przyznają, że pomimo ucisku pruskiego i skasowania w 1887 r. języka polskiego w szkołach, sądach i administracji, w 1914 roku istniało na Pomorzu 73 pol-



Elżbietka Czarnecka.

fol. B. Giblewski.

skie czasopisma. „Gazeta Toruńska” od 1867 r. wychodziła jako dziennik Tymczasem Niemcy swego pisma codziennego tam nie mieli. Przyznają, że pomimo prześladowania katolicyzmu w 1816 r., było na Pomorzu Polaków-katolików 46 proc, w 1905 r. liczba ich wzrosła do 51 proc. Przyznają, że pomimo istnienia Komisji Kolonizacyjnej, ludność pomorska, walcząc z wywłaszczeniem, przy pomocy swoich banków rolnych, wydarła Niemcom w latach 1896—1905 w samych Prusach Królewskich — 29.079 ha. Przyznają, że np. w Lubawie w 1890 r. na 2252 Niemców było 2111 Polaków, a w 1905 r. już tylko na 1905 Niemców — 2814 Polaków. Niemcy przyznają dalej, że w walce z bezbronną ludnością używali brutalnie całego swego potężnego aparatu państwowego („Lorenz „Geschichte der Kaschuben”). Przyznają, że już przed 1919 r. t. zw. przez nich „korytarz” pomorski był polskim. W Prusach Zachodnich od 1871 do 1918 r. piętnaście razy wybierano tylko posłów polskich, ani razu zaś nie przeszedł poseł niemiecki. Przyznają, że pruski minister oświaty protestował w Berlinie, wobec parlamentu przeciwko temu, że Kaszubi darli niemieckie katechizmy i nie pozwalali swym dzieciom uczyć się religii w języku wrogów. Przyznają wreszcie, że w roku 1906-7 polskie dzieci w Prusach Zachodnich urządziły także strajk szkolny.

Ludność pomorska choć jęczała pod ciężkim butem krzyżackim, nigdy nie pogodziła się z utratą niepodległości Polski. Chociaż dzieliły ją kordony od stolicy, zawsze była wierną majestatowi Rzeczypospolitej.

POWIEŚĆ O LUDZIACH CODZIENNYCH

MARJA DĄBROWSKA: Noce i dnie. Powieść. I. Bogumił i Barbara. Wyd. Jakóba Mortkowicza.

Fotografia wewnętrzna i zewnętrzna doprowadzona do doskonałości, oto powieść Dąbrowskiej. Zapytujemy teraz: W jakim celu?

Jest to ta sama literatura bezproblemowa, do jakiej w chwili obecnej należy Proust, Galsworthy, (w sadze Forsythe'ów), Tomasz Mann.

Widzimy człowieka wywróconego na zewnątrz, jak rękaw z podszewką. Widzimy podświadome pobudki skojarzenia, usprawiedliwienia przed sobą, włożenie wewnętrzne na szczudła, by zakryć poziomą własnych dążeń. Można to nazwać pozytywną wiedzą o człowieku, przetykaną jednak momentami prawdziwego liryzmu. Np.:

„Wiosenna wilgoć w nocy przyciemniła bruk i wyjaskrawiła barwy dachów. Wszystko było mokre, pogodne i świeże. Pani Barbarze wydało się nagle, że coś niezwykle ważnego i radosnego jest na świecie do uczynienia i że ona to właśnie uczyni, że coś niezwykle wartościowego jest na nim do przeżycia — i że ona to właśnie przeżyje”.

Że to studjum o człowieku dokonane jest na terenie życia codziennego i ludzi przeciętnych, charakteryzuje to może naszą epokę. Epokę patosu pracy i zbiorowości. A gromada nie lubi ludzi wybitnych, co sterczą głową nad masą. Epokę nowobogactwa i demokracji, wśród których zagubiła się subtelność i wytworność. Po krótkim okresie powojennym, kiedy w literaturze szukano ucieczki od codzienności, zapomnienia rzeczywistości, teraz znowu jesteśmy w pełni zamiłowań realistycznych.

Pomimo swego realizmu, pomimo obrania za temat człowieka przeciętnego, Dąbrowska ma jeszcze trochę tej poezji, którą w nielicznych zakamarkach swych książek, wśród biur, sklepów i restauracji zachował i Perzyński: tą poezją jest przyroda i wieś.

Autorka „Ludzi stamtąd” i w „Nocach i dniach” reprezentuje uczuciowość wiejską wobec urbanizmu. Przesuwa przed nami kolekcję niedobitków jeszcze z czasów niewoli, których do tego czasu zapewne demokracja swoiście-polski, parcelacja i kryzys zdążyły dodusić ostatecznie. O ile ocalili z potopu 1920 roku.

Pewną muzealność tych typów odświeża powiew wiekuistego człowieczeństwa w nich. Charakter Barbary, w którym wybija się na wierzch „wieczne zmartwychwstanie”, łagodna, wołowa pracowitość i dobroć Bogumiła, i dokoła nich dziesiątki ludzi bardzo różnorodnych.

Sylwetki są doskonałe — chodzące fotografie, przekonywujące swą autentycznością. Życie schwyte na gorącym uczynku, jak u Zapolskiej. Tylko Zapolska przez swe nastawienie naturalistyczne kreśliła ludzi zmysłowych, niższych, grzesznych. U Dąbrowskiej zaś jest szerokie tchnienie przychylnego, ciepłego życia, jakby widzianego przez dziecko, tak małą rolę gra w niem erotyka. U Zapolskiej była walka o jakąś tezę, zaciekle oskarżenie, pesymistyczne wywlekanie krzywdy, sąd w imię moralu. Dąbrowska ma miłość życia i opisuje je z przyjemnością, z ciepłym uczuciem, z przytulaniem i pogłaskaniem, z głębokim odetchnieniem. — Dobrze jest życie. — Np.:

„Pod kłosami z granatowego drutu złocił się miód, woniały już podeschnięte, pstre od kminku gomółki, osy dobijały się do przykrytego kłosem koszyka z renklodami, na których tu i ówdzie błyszczały kropki żywicy. Na talerzu z czarnego dębu piętrzyły się skiby przasnego chleba, cielistą gruda masła zroszona była mętnymi kroplami niedostatecznie wyciśniętej wody. Bogumił spojrzął na to wszystko uszczęśliwionym okiem, uchylił drzwi do kuchni i zawołał, żeby mu podali chłodzoną kawę”.

To umiłowanie życia, lgnienie do niego, nazwano witalizmem. Jak gdyby po okopach, po atakach na bagnety, po głodzie i wyrzeczeniach wojny, po latach oko w oko ze śmiercią nagle ujrzano czar, przyjemność drobnych zjawisk życia.

Takie same malowidło witalistyczne, obrane z patosu dał Jarosław Iwaszkiewicz w powieści ukraińskiej „Księżyc wschodzi”. Jest to odczuwanie zdrowego organizmu, czującego rozkosz swej sprawności w funkcjach fizjologicznych i wrażeniach zmysłowych, reagujących na otoczenie bezboleśnie, a więc wesoło.

Ciekawić nas zaczyna, czy autorka w następnych tomach „Nocy i dni”, jak Sygryda Undset w „Olafie Audunssonie” i „Krystynie córce

Lawransa” i Galsworthy w swej „Sadze rodu Forsythe'ów” nie zacznie wędrować dalszych losów dzieci Bogumiła i Barbary i innych Ostrzeńskich i Niechciców. I wprowadziwszy ich w okres kryzysu gospodarczego i moralnego powojnia — co zrobi z tą optymistyczną pogodą i przytulnością beztroskiego bytu wiejskiego? Co będzie z kwękaniem urojonego „wiecznego zmartwienia”, kiedy zaczną się walić rzeczywiste, krwawe, miazdzące, śmiertelne ciosy?

Przed wojną za mało kochano teraźniejszość, wrywając się z niej w przyszłość, odrzucając ją, jako niewolną i niegodną wyżycia. Nietzscheńska afirmacja życia z „Wiedzy radosnej” nie przeniknęła do naszego życia zbyt zachmurzonego, wcieklszy doń jedynie wąskim strumyczkiem poezji Staffowskiej. Radosność franciszkańska też nie była znana pokoleniu agnostycznemu. Teraz pozwolono sobie na chwilę tej afirmacji — ucieszenia się słońcem, że zachodzi dziećmi, że się bawią, chlebem i masełkiem, że pachną i sycają.

Jest to moment użycia, nie życia; życia twórczego, konstruktywnego, wybiegającego w przyszłość, w dalekie szlaki, w nienazwane gościńce, skąd schodzi odnowa. I dlatego, ucieszywszy się słonecznym optymizmem autorki, traktujemy z pobłażliwym humorem nawet ludzkie krzywizny, zaczynamy się czuć za ciasno w jej domku. Bowiem los to człowieka — zrywać się z ziemi w nieogarnione obszary, śnić o wielkości cudzej lub własnej, stać nad strumykiem, pożądając oceanu niezgłębionego, bezbrzeżnego.

Przyciśnięci kalectwem materializmu i twardą pięścią kryzysu, zapomnieliśmy o tych ogromnych aspiracjach, o tęsknotach twórczych, o tem, że chwila może dać pełnię tylko wtedy, gdy zmieścimy w niej myśl o całej wieczności. Ale kiedy rozwija się przed nami to życie wyższego lotu, zaczynamy przypominać sobie o ptakach szerokoskrzydłych i polotnych.

Styl Dąbrowskiej — bardzo prosty, ubogi w wyrazy pomimo swej jędrnej sugestywności odpowiada opisowi tego życia samoograniczonego. Każda rzecz napisana z talentem bierze czytelnika. Ale idąc, długo idąc, wkońcu musimy zapytać: — Jaki cel drogi?

Anna Zahorska.

ILUSTROWANE ZESZYTY SZKOLNE

Obok książki kajet należy do niezbędnych rekwizytów szkolnych. Należy niewątpliwie do rzędu najszcześliwszych pomysłów wykorzystanie okładki kajetu szkolnego do rozpowszechniania wiadomości o Polsce, jej historii, sztuce i kulturze. Trafny ten a genialny w swej prostocie pomysł urzeczywistnia Wydawnictwo Polskich Zeszytów Ilustrowanych, które przed rokiem rozpoczęło swą działalność, i puściło w świat kilka seryj swych zeszytów a mianowicie: serję historyczną, przyrodniczą, a ostatnio serję propagandy polskiego morza.

Okładka zeszytów serji historycznej według projektu Stefana Norblina. Serja historyczna obejmuje narazie portrety i życiorysy królów polskich. Mamy już Piastów, a wkrótce ukazują się Jagiellonowie, do których życiorysy opracowane zostały przy udziale świętego znawcy tej epoki prof. Ludwika Kolankowskiego z Uniwersytetu Wileńskiego. Z kolei, jak informują nas wydawcy, ukazą się dalsze wizerunki i życiorysy królewskie, ilustrowane opisy bojów i historii oręża polskiego w reprodukcjach najwybitniejszych naszych batalistów (tu przyobiecują swą pomoc dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie prof. Bronisław Gembarzewski), wreszcie portrety i życiorysy wodzów, zaśluzonych mężów i bohaterów narodu.

Trudno nie radować się cennemu pomysłu, który dziecko polskie od chwili zetknięcia się go z kajetem poprowadzi szlakami dumy i ambicji narodowej, budząc miłość i podziw dla własnej Ojczyzny.

Niemniej ciekawą z innego punktu widzenia jest serja zeszytów, których okładka poświęcona jest ilustrowanej propagandzie ochrony przyrody w Polsce. Ten wdzięczny dział obejmuje narazie 8 tematów. Widzimy więc na okładkach doskonale reprodukcje: tura, bobra, kozicy, świstaka, łosia, rysia, żubra i żbika — słowem tych zwierząt, które, jak piękne tury, wyginęły przez barbarzyństwo lub nieświadomienie łapczywych ludzi i tych, które, aby nie podzieliły losu tura, podlegają ochronie państwowej w Polsce. Teksty objaśniające zostały opracowane pod fachowym kierownictwem wybitnego znawcy przedmiotu prof. Jana Sosnowskiego, rektora Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Jak informują nas wydawcy, dalszy ciąg zeszytów, poświęconych propagandzie ochrony przyrody w Polsce, obejmie z kolei opisy ilustrowane roślin i drzew, podlegających ochronie.

Na ukończeniu jest również wyjątkowo piękna serja zeszytów (sprezentowano nam reprodukcje i teksty), obejmujących historię i zabytki sztuki w Polsce, opracowana przy udziale znakomitego artysty, prof. Zygmunta Kamińskiego z Politechniki Warszawskiej.

Wydawcy myślą również o serji lotniczej i przeciwwzajemnej. Słowem mamy tu do czynienia z wydawnictwem celowym, dobrze pomyślanem, starannie wykonanym, co daje gwarancję, że młodzież istotnie znajdzie w tych zeszytach pożyteczną pomoc naukową, w cenie nie wyższej od normalnej.



Okładka zeszytu do rysunków.

Z PIŚMIENICTWA

KS. ALOJZY MAJEWSKI P. S. M.
Dr. Józef Lipkowski, Pallotyn. Warszawa. 1933. Wydawnictwo Księża Pallotynów. Str. 112.

Dziwnemi są drogi Opatrzności. Przekonać się o tem możemy z życiorysu śp. dra Józefa Lipkowskiego, który po półwiekowej tułaczce życiowej zapukał wreszcie do furty Stowarzyszenia Księża Pallotynów i przez lat dwadzieścia dwa nosił ubogi habit brata zakonnego. Życiorys ten, opracowany w znacznej części na podstawie pamiętników śp. brata Lipkowskiego jest ciekawym „dokumentem ludzkim”, świadectwem prawdziwości słów św. Augustyna, iż niespokojnem jest serce człowieka dopóki nie spocznie w Panu.

Józef Lipkowski pochodził z zamożnej i znanej rodziny ziemiańskiej na Ukrainie (urodził się w Żytomierzu w 1860 roku). Wychowany przez pobożną, matkę wzorową katoliczkę i Polkę, z domu Kossowską, zamiast osiąść na roli i prowadzić spokojne życie w dostatku, obrał zawód lekarski, chcąc walczyć z nędzą i niedolą ludzi ubogich. W zawodzie tym różne przeżywał koleje. Pracował w różnych miejscowościach Rosji, dochodził do zamożności, lecz wszystko przemijało,

zmieniało się jak obraz filmowy. Gdy wreszcie śmierć zabrała mu towarzyszkę życia—dowiedziawszy się przypadkiem o założeniu pierwszego domu Księża Pallotynów w Polsce (w ówczesnej Galicji) — przełamuje liczne trudności i zostaje skromnym braciszkiem w tem stowarzyszeniu misyjnym.

Pędzi odąd życie pełne cnót chrześcijańskich. Wzorem jest pracowitości i pokory. Ukochał ubóstwo zakonne, wzbraniał się wszelkiej dozwolonej wygody mimo podeszłego wieku i cierpień fizycznych które go nawiedzały w latach ostatnich.

Człowiek wysoce wykształcony po wstąpieniu do Stowarzyszenia mógł łatwo zdobyć niezbędną wiedzę teologiczną i zostać kapłanem. Lecz tak wysoko cenił stan kapłański, iż czuł się jego nie-

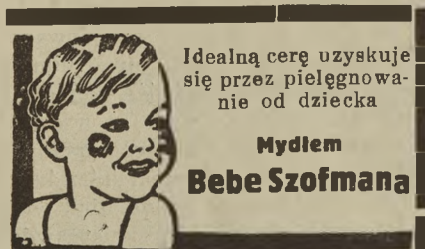
godny — pozostał więc tylko braciszkiem.

Zjednał sobie miłość i szacunek całego Stowarzyszenia Księża Pallotynów w Polsce i wszystkich, którzy z nim się zetknąć mogli. Ostatni etap życia spędził w Chełmie, gdzie stał się niezwykle popularny, mimo swej zadziwiającej skromności i pokory.

Zmarł w grudniu 1931 r., do ostatniej chwili opracowując artykuły dla miesięcznika misyjnego „Królowa Apostołów”. Wybitny lekarz ciał ludzkich — stał się gorliwym lekarzem dusz. Kwiaty na jego grobie, składane przez pobożną ludność Chełma — stwierdzają, o szerokim promieniowaniu cnót śp. brata Józefa, który przez całe życie w różnych jego stadjach zawsze pracował dla dobra bliźnich.

Autorem książki jest ks. Alojzy Majewski, najstarszy wiekiem Pallotyn polski, dawniej misjonarz w Afryce, znany z szeregu prac z zakresu literatury misyjnej i pasterskiej. Książka napisana jest językiem poprawnym i żywym, powinna się znaleźć w ręku katolików interesujących się sprawą misyjną i ludzi, zwłaszcza młodzieży, szukającej dróg do Boga.

L. R.



ZE SZTUKI

„Stefek” Devala jest sztuką o bardzo niebezpiecznych zakrętach tematu. Autor stara się oświetlić nibyto obiektywnie pewne środowisko rodzinne o dość grząskim gruncie. widać jednak, że chętnie odmalowuje sytuacje, jak najbardziej napięte i drastyczne.

A temat jest ciekawy i ważny. Chodzi tu o moment erotycznego przełomu w duszy siedemnastoletniego chłopca. Ze tego rodzaju „przełomy” reżyseruje przypadek, wiemy aż nadto dobrze, i autor, pokazując nam nową, wedkindowską „budzicielkę wiosny” w osobie starej kurtyzany, powiedział smutną prawdę, w wielu sytuacjach sprawdzoną.

Lecz do tej prawdy autor dorobił już swoją własną anegdotę. A więc ów „przełom” w „Stefku” potraktował jako swego rodzaju pasowanie na „rycerza życia”.

Stefek, potulny chłopczyk — „mamusin synek”, nagle się wyzwala na mężczyznę, w tym najgorszym tego słowa znaczeniu. Zaczyna więc rywalizować z ojcem w donżuanerii. w sprytnych i niezbyt czystych interesach. (Historja „poyczki” 206 fran.) i t. p.

Robi się z niego kawał łobuza. Najzupełniej już po „drobnomieszczkańsku” reaguje na to wszystko, z woli autora, matka Stefka. Oto, chcąc chłopca ratować z pod wpływów owej kurtyzany, która go „wprowadziła w życie”, godzi „dla wygody” pokojówkę.

Ta „mamusia” odślania nam aż do korzenia całe zakłamanie, fałsz i pomylenie tego niezdrowego środowiska rodzinnego. Logika jej postępowania jest zaiste zdumiewająca. Na skutek jakich argumentów, ona, która „cierpi” z powodu męża Donżuana, popycha swego syna na tę samą drogę, trudno zrozumieć. Autor obnażył tu straszną nędzę moralną ludzi, którzy w życiu nie znają żadnych sprawdzianów poza swą przyjemnością i wygodą. Środowisko to skazane jest prędzej czy później na upadek.

W „Zachęcie” mamy ciekawą wystawę retrospektywną „Żołnierz i koń” w sztuce polskiej. Od Orłowskiego i Suchodolskiego, nieudolnego zresztą batalisty, przez Chełmońskiego, Brandta, Juliusza Kossaka, aż do Wojciecha Kossaka, Gepperta i innych współczesnych snuje się barwna wizja żołnierza i konia Brandta, ożywia stępy kozackie mi pułkami, co z barwnymi chorągiewkami i dźwięczną piosenką ciągną na tatarską. Juliusz Kossak maluje wspaniałe bachmaty, rumaki rycerskie, wskrzesza wizję „Zdobycia Wiednia”, syn jego, Wojciech, rzuca we wspaniałem z olbrzymim rozmachem zrobionem płótnie widmo krwawej niedzieli w Petersburgu gdzie pod kopytami kozaków legł strąlowany bezbronny lud.

Jan Rosen ukazuje nam piękno polskiego munduru r 1831 z doskonałą wiernością rysunkową i kolorystyczną. Element humoru wnosi Orłowski i Michałowski. Gdzieniedzie humor wywołuje nieudolność samego artysty, jak np. w naiwnym wjeździe Dąbrowskiego do Poznania.

Całość wystawy godna jednak uznania i zwiedzania. Zwłaszcza zaś w związku z akcją beatyfikacji królowej Jadwigi warto się choć chwilę zatrzymać przed doskonałym płótnem Rossowskiego, malującego wjazd Jadwigi do Krakowa.

W I. P. S'ce mamy bardzo ciekawą i aktualną wystawę malarską pod znakiem turystyki i krajoznawstwa. Dużo tu fotografii, doskonale uwydatniających piękno polskiego krajobrazu. Zdjęcia podzielone województwami widzimy, co gdzie jest, więc kopalnie i ciężki przemysł Śląska, magnackie rezydencje, stare świątynie i ruiny poznańskiego, charakterystyczne budowle gotyckie Pomorza, obok

jezior, lasów, puszczy i rezerwatów przyrody województw wschodnich i karpackich. Piękne są ziemie polskie i bogaty mają wybór rzeczy godnych widzenia dla chcących i mogących je zwiedzać.

Uzupełniają to dzieła pędzla najwybitniejszych malarzy.

Z TEATRU

Po wątpliwem „Hau, hau”, w którym angielski autor chce naśladować Fredrę i jego „Pana Jowialskiego”, teatr Narodowy wystawił „Obiad o ósmej”. Sztuka ta odślania nam kulisy kryzysu materialnego i moralnego, jaki toczy Amerykę. Bankructwa finansowe i moralne są na porządku dziennym. Autorzy nie oszczędzili żadnego z bohaterów sztuki. Na przestrzeni paru dni ukazali ich wszystkich w ich wielkości i upadku. Trzeba przyznać, że obraz amerykańskiego życia wypadł wcale niepochlebnie, ba, wręcz odstręczająco. W górnych sferach rządzących Ameryką, w królestwie miliardów panuje wciąż jeszcze prawo puszczy, prawo bezwzględnej, zwierzęcej nieomal walki. Z drapieżnie-obojętnym półuśmiechem spiskują jedni przeciw drugim, aby zrujnować się wzajemnie, aby wyssać z przeciwnika wszystkie soki odebrać mu wszystkie korzyści, pozbawić go pieniędzy czy kochanki.

A jednak jest coś, co budzi respekt w tych ludziach o pierwotnych instynktach, okrytych tylko zlekka szatą cywilizacji i jej technicznych arcyzdobyczy, w tych czcicielach ewangelii konfortu i życiowej wygody.

Jest to Europa i jej stara kultura. Przed nią, przed jej nawet drugorzędnymi przedstawicielami czuje amerykańkanin, wierzący zresztą w dolara i boksera, mimowolny szacunek. Przypomina to starożytny Rzym, który podbiwszy Grecję, uległ czarowi jej filozofji i sztuki. Tak dziś Ameryka, opanowawszy Europę swym dolarem, jednocześnie skłania głowę przed jej starą wypróbowaną kulturą.

Pod tym względem sztuka „Obiad o ósmej” odślania ciekawe widowisko. Poza to jest w niej wszystko miłe i małoważne, choć należy podziwiać mistrzostwo i znajomość sceny, z jaką zostały puszczone w ruch te figury „obiadowe”, z jaką uzewnętrzniono całą ich pustkę duchową i całą ich małpią moralność.

Warszawa zapewne nie bez wpływu paktu wschodniego przeżywa ostry szal uwielbienia dla rosyjskiego, a ściślej bolszewickiego teatru. Po „3 parach pończoch”, po „Mieszkanu Zojki” pokazano nam obecnie „Dziwaka”. Mamy tu jeszcze jedną próbę podejścia do zagadnienia ustosunkowania się dawnej inteligencji do nowego reżymu. Afinegenow znany ze swego „Człowieka z teką” lubi analizę psychologiczną o głębszych ambicjach. W „Dziwaku” po części mu się to udało.

Porucznik „Przecinek” w teatrze Polskim jest dobrze zbudowaną anegdotą sceniczną, odmalowującą stosunki dworskie w carskiej Rosji. Przez omyłkę pisarza „zaistniał” fikcyjny porucznik Przecinek, który staje się niespodzianie osiłą intrygi. Raz go zsyłają na Sybir, to znów ułaskawiają, by za chwilę skazać na śmierć — słowem arabskie awantury. Porucznik odnosi zwycięstwa, poskramia buntowników, staje się podporą tronu, zostaje wreszcie generałem.

Zwarjowany car chce go koniecznie mieć przy sobie, tyle mu o nim opowiadano chce go wynagrodzić, uszczęśliwić, ożenić... I w końcu rzeczywiście Przecinek żeni się. Te wszystkie nieprawdopodobne awantury, odmalowujące zupełnie rozkład dworu, można jakoś strawić, jako przedmiot zabawy w sezonie ogórkowym. Inaczej byłoby trudno, zbyt wiele dowcipów ciągnie autor za włosy przez piec... nieprawdopodobieństwa.

Dział Kobiety

DLA DUSZY.

Wielu pragnie zatapiać się w Bogu; lecz nie usiłują ćwiczyć się w tem, co do takiego daru prowadzi.

Wielce nam to zawadza, że poprzestajemy na oznakach i rzeczach zewnętrznych, a mało mamy w sobie ducha doskonałej pokuty i umartwienia.

Nie wiem co jest, jaki nas duch prowadzi i dokąd zmierzamy, my, którzy się mamy za duchowych; a któ-

rzy z tak wielką pracą i usilnością, ubiegamy się o rzeczy marne i znikome, a mało kiedy w zupełnem skupieniu ducha, rozmyślamy o wewnętrznych potrzebach naszych.

Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

GOŚCINNOŚĆ

„Gość w dom — Bóg w dom“, mówi nasza stara matka.

I ma rację.

Tak każdego gościa na progu domostwa witać należy, jak gdyby się tylko tego czekało, żeby on właśnie wszedł.

Prawda, że zaraz druga przypowieść opowiada: „Gość nie w porę, gorszy tatarzyna!“, ale i na to jest sposób.

Bywaj gościu drogi, rada Cię widzę. Ale posiedź gościu, odpocznij, a ja robotę skończę i będziemy se gwarzyli, o tem co na sercu leży i dusza raduje czy smuci.

Szczerłość, to śliczny regulator naszych spraw. Zamiast tu się uśmiechać, a tam, w sekrecie, niedaj Boże, zakląć, jasno serdecznie się porozumieć i sprawa będzie dobrze załatwiona.

Tem więcej, że taki, co przychodzi „nie w porę“, to rzadki ptak.

Bo przecież każdy znajomy wie, kto czem zajęty, dzisiaj i co robi i jeśli delikatny, nie wejdzie, kiedy go nie trzeba.

A obcy, przejezdny, przygodny — nie winien. Temu zawsze przebaczyć należy, każdą porę, w której do drzwi puka i nie dać uczuć, że w tej chwili nie był pożądanym. Tak nam w Polsce mówią matki. Tak mówiły matkom nasze babki i tak my powinniśmy mówić naszym dzieciom.

Bo dom w Polsce to ważna rzecz. Bo dom w Polsce zawsze był tą placówką, która strzegła cnoty i obyczaju, która pielęgnowała miłość dla ziemi ojczyźnej i zgromadzała rodzinę, podstawę ładu społecznego. I dziś robić to powinien.

A czy kto sobie wyobraża dom polski bez gościnności?

Ja nie.

Serdeczne powitanie, dobre słowo. Współczucie dla nieszczęścia, śmiech dla radości, łyżka stawy dla głodnego, jałmużna dla nędzarza — to wszystko dobra gospodyni mieć powinna na składzie w swem sercu i częstować temi zasobami w potrzebie.

Niema tłumaczenia ani drożyzną, ani ciężkimi warunkami.

Na pohybel, życiu nad stan, życiu zbyt kosztownemu! Na to nie mamy.

„Czem chata bogata — tem rada“. Niech tylko będzie naprawdę rada, to dobra chęć stanie i za obfity poczęstunek.

Plon dał nam Bóg obfity. Zebrać dozwolił szczęśliwie.

Chwalmyż Go za to i pielęgnujmy piękną tradycję, przekazaną nam przez wieki, gościnności, domu polskiego.

Twórzmy z niego tę przystań, w której każdy znajdzie wypocznienie. Niech dla rodziny będzie ostoja, dla przyjaciół radością, dla każdego ogniskiem, przy którym, jeśli nawet najsrożej życie zmrozi, znajdzie się błogie, kojące ciepło dla jego niedoli.

Kobiety dom tworzą i o nim stanowią. Dla tego też do nich zwracamy się z przypomnieniem dbałości o tę strażnicę.

Tyle godzi w jej całość prądów nieprzyjaznych, tyle przeszkód mniej lub więcej usprawiedliwionych, a tyle ważnych za utrzymaniem jej przemawia potrzeb, że warta i trudu i ofiar, aby ją w całości utrzymać.

Kobiety polskie, gospodynie stateczne znają moc, kryjącą się w naszym domowym życiu, naszym wspólnym pacierzu, wspólnej pieśni, wspólnej naradzie w złej czy dobrej dobie. Kobiety polskie zachowają zawsze nieskalany, serdeczny, a gościnny dom polski, nad którym zawiśnie błogosławieństwo Boże.

L. Kotarbińska.

NA CZEŚĆ KRÓLOWEJ JADWIGI

Od komitetu uczczenia królowej Jadwigi otrzymujemy odezwę następującą:

Szereg uroczystych, podniosłych manifestacyj, z udziałem wszystkich czynników i sfer społeczeństwa polskiego, przechodzi w roku bieżącym kolejno przez

kraj cały. Chodzi o wyniesienie świątobliwej i wielkiej królowej Jadwigi na ołtarze świętych.

Ma się spełnić nareszcie we wskrzeszonej do niepodległości Ojczyźnie wielkie życzenie i dążenie wielu pokoleń od pięciuset lat. Moment najodpowiedniejszy

i najkorzystniejszy ze wszech względów dla realizacji tego podniosłego, historycznego celu. Episkopat polski, popierając czynnym współudziałem urządzone kolejno w głównych centrach Polski obchody, okazał najgorliwsze uznanie dla tej sprawy; nuncjusz Stolicy św. w Warszawie wyraził również całą dla niej życzliwość i gotowość poparcia. A naród polski wszędzie, gdzie doszła fala uroczystych manifestacji, wykazał zrozumienie nie tylko dla konieczności oddania sprawiedliwości dziejowej świątobliwej monarchini, ale i dla bezspornej prawdy, że w dzisiejszych szczególnie ciężkich przejściach i warunkach — ciężkich nie tylko materialnie, ale i moralnie, gdyż tyle grozi duszy polskiej wrogich zakusów — wybrnięcie z położenia niezmiernie trudne będzie, jeżeli wogóle możliwe, bez szczególnego nadprzyrodzonego orędownictwa.

Punktem kulminacyjnym tych wzniosłych obchodów będą wielkie uroczystości ogólnokrajowe, przygotowane na dzień 17 września r. b. na Jasnej Górze z udziałem polskiego Episkopatu, tysięcznych delegacji z Iona społeczeństwa i prawdopodobnie także przedstawicieli władz, których zabraknąć nie powinno w tej prawdziwie historycznej manifestacji. W dniu tym ma również Episkopat polski wziąć pod obrady sprawę

wszczęcia procesu kanonizacyjnego królowej Jadwigi skierowania go do Rzymu.

Polacy! Zbliża się prawdziwie wielki, podniosły moment, w którym naród — bez względu na dzielące poszczególnych ludzi różnice — ma złożyć i powinien złożyć solidarny, masowy, żywiołowy dowód, że katolicka Polska żyje tem samym tętmem wiary, jakie było w sercach przodków naszych niezłomnie w ciągu wieków minionych, należy więc, aby na dzień wymieniony wszystkie organizacje katolickie — religijne, społeczne czy inne — nie tylko wzięły udział w uroczystościach jasnogórskich przez możliwie liczne delegacje, ale również, aby delegacje te złożyły tam do rąk Episkopatu prośby, zaopatrzone w jak najliczniejsze podpisy, wyrażające gorące życzenia całego społeczeństwa zaliczenia w poczet świętych królowej Jadwigi.

Jeżeli Francja zdobyła się stosunkowo niedawno na solidarny poryw, gdy chodziło o kanonizację Joanny d'Arc, to o ileż większy poryw i głos powinien podnieść się ze społeczeństwa polskiego, skoro królowej Jadwidze daleko większa przypadła rola w Polsce, jako ofiarnej, świątobliwej niewieście i prawdziwie wielkiej monarchini!

PODNIOSŁE NABOŻEŃSTWO, JAKICH NIE BYWAŁO

Powtarzamy za podanym w „Kur. Warszawskim” opisem pięknego dowodu *dobroci*, tej cechy ludzkiej natury, która mieści w sobie, najniezawodniej, najwięcej Bożego technienia.

Dowodem tej dobroci było „Nabożeństwo za obłożnie chorych”, podczas którego, jak nam to opowiadała jedna z uczestniczek, której pieczy, powierzono było staranie o starszuskę 80-letnią, doznawało się niebywale podniosłych uczuć.

„Poniedziałek — godz. 8 rano. Przed kościoł św. Krzyża zajeżdża sanitarka Czerw. Krzyża, wynoszą i wyprowadzają z niej chorych. We drzwiach czekają pielęgniarki ze Szkoły warszawskiej Czerwonego Krzyża, które wprowadzają przybyłych do kościoła, gdzie już biela się licznie kornety siostr miłosierdzia i coraz więcej gromadzi się chorych o laskach i pod ramiona prowadzonych.

Nabożeństwo wspólne dla obłożnie chorych, pozbawionych dotychczas — nieraz przez długi czas — tej pociechy, jaką daje wysłuchanie Mszy św., nie mogących wskutek choroby uczęszczać do kościoła.

W zorganizowaniu niezwyklej tej uroczystości wziął udział specjalnie zawiązany w tym celu komitet pań z Akcji Katolickiej, który zajął się wyszukaniem obłożnie chorych po domach, oraz — Czerwony Krzyż, który uwieńczył tym pięknym współudziałem swój „Tydzień”, oddając do dyspozycji swoje drużyny ratownicze i sanitarki dla przewożenia chorych. Pozatem stanęło do pomocy 25 pielęgniarek ze szkoły Czerw. Krzyża, które zajęły się obsługą chorych, zwożonych do kościoła.

Chorych przywieziono 125, pozatem przyszło jeszcze 100, mogących chodzić. Na dzień przedtem księża spowiadali ich po domach by mogli przystąpić wszyscy do wspólnej Komunii świętej.

Uroczyste nabożeństwo w asyście duchowieństwa celebrował ks. proboszcz Lorek, który, po Ewangelji, wygłosił do chorych krótkie przemówienie, przypominając im, że ze swych cierpień mogą złożyć Bogu ofiarę za Kościół, Polskę i zdrowych współbraci.

Gorące łyzy wzruszenia płynęły z niejednych oczu, żarliwie wpatrzonych w jaśniejący ołtarz. Dźwięk organów i skrzypiec, śpiew chóru potęgował błagalny nastrój modlitwy.

W czasie Mszy św. chorzy przystąpili do Komunii, którą obdzielało ich trzech kapłanów.

Po nabożeństwie chorzy otrzymali śniadanie, urządzone staraniem Akcji Katolickiej. Ciężko chorzy, obsługiwani przez pielęgniarki Czerw. Krzyża, spożyli je przy zakrystji; dla chodzących zastawiono stoły w sąsiednich salach, gdzie obsługiwały ich panie ze Stow. miłosierdzia św. Wincentego à Paulo.

Drugą część uroczystości rozpoczęła ceremonia o wstrząsającym wrażeniu: nakładanie rąk przez kapłanów na chorych. W myślach wstawał czas Chrystusowego na ziemi pobytu i ja wiły się w oczach wizje dalekie.

A gdy następnie przyjęto uroczyste we drzwiach kościoła przybywającego J. E. Ks. Nuncjusza, w którego obecności odbyło się zakończenie modłów, z wystawieniem Najświętszego Sakramentu i uroczystą procesją w czasie której Jego Eksceleńcja błogosławił chorych grupami, — po zakończeniu tej uroczystości chorzy ze łzami dziękowali duchowieństwu i jego pomocnikom.

Dotychczas poniekąd osamotnieni w swych cierpieniach, pozbawieni częstej pociechy religijnej przez niemożność uczęszczania do kościoła, uczyli się w tym dniu otoczeni atmosferą ożywczą, podźwignięci na duchu i pokrzepieni wiarą.

MINĘŁO LATO...

Lato minęło, ale nie minęły wspomnienia uroczystych chwil, którym towarzyszyło słońce i pogoda na niebie a radość w duszy.

Jedną z nich była wycieczka delegatów z Polski, Ligi Morskiej i Kolonjalnej, którzy przybyli do Warsza-

wy w dniu 25 maja, a po wysłuchaniu Mszy św. w kościele Pań Kanoniczek, zgromadzili się na pierwsze plenarne posiedzenie w Wielkiej sali Ratusza, wypełniając ją po brzegi. Obecność Pana Prezydenta zwiększała powagę i ważność chwili, a podniosłe przemówienie ge-

nerała Dreszera odrazu stawiało sprawę utrzymania Morza na tym niezachwianym poziomie, którym było przejęte całe zgromadzenie.

O 5-ej, trzy statki pasażerskie na przystani Wisły, gościnnie przyjęły przeszło 300 osób, a żegnane muzyką i życzeniami drogi bez przeszkód, popłynęły — Wisłą, do Gdańska i Gdyni.

Pierwszy postój w Modlinie był przepiękny. Setki świateł się paliło, orkiestra grała — szpalery żołnierzy torowały drogę do koszar, w których stoły nakryte, ukwiecone, czekały gości, a muzyka zachęcała młodzież do tańca, które z ochotą przeciągnęły się do północy. Żegnani salwą wystrzałów, oświetlony ogniskami brzeg żegnaliśmy odchodząc na statki — śledzone reflektorami rozjaśniającymi nam ciemności, deszczowej nocy. Świt, śniadanie i praca w komisjach, bo taki był plan wycieczki, aby, zamiast w dusznych murach Warszawy, doroczny Zjazd Delegatów zrobić na statkach — płynących po Wiśle, a rezultaty zreasumować — w Gdyni.

Więc o 11-ej rano spotyka nas niebywale serdeczna i piękna owacja w Płocku, którego mieszkańcy wylegli na górzysty brzeg, tworząc malownicze obrazy, gdzie generał Dreszer przyjmował defiladę — wojska, związków, stowarzyszeń, harcerzy i szkół, i gdzie huftce dzieci ciągnęły się bez końca.

— Czy Płock ma 100 tysięcy mieszkańców? — pytam, widząc te nieprzebrane huftce drobiazgu.

— Gdzietam! Ma tylko 30 tysięcy. Ale ma pułkownika Łódź, który tak całe miasto zaprzął do służby dla Ligi Morskiej, że niema mieszkańca, któryby nie należał do członków popierających Ligę, stąd całe ro-

dziny się grupują dla reprezentacji i defilada trwa bez końca ku radości serc.

Pokłoniwszy się starej plockiej świątyni, wracamy na statki i do roboty, którą nam przerywa przystań we Włocławku, gdzie już w Jacht-Klubie czekają na nas z obiadem. Długim pasmem nadbrzeżnym stoją tłumy publiczności, kiedy ruszamy w dalszą drogę. Jeszcze Toruń, stary Ratusz, pokłon Kopernikowi, objazd piękną Bydgoską ulicą i układamy się na noc, aby rankiem płynąć już koło naszego polskiego portu w Gdańsku, przesiąść się na nasze morskie statki i kanałem, stanowiącym ujście Wisły, koło Westenplatte, strzeżonego przez naszych żołnierzy, wjechać na zatokę morską i dotrzeć na południe do Gdyni. Po południu — drugie plenarne zebranie w pięknej sali hotelowej. Zebranie ożywione, chwilami gorące. Temperamenty grają — ale całość owiana miłością sprawy, której wszyscy służą wiernie. Wysyłają się depeche od dostojników państwa i może najgoręcej oklaskiwana depecha, lecąca z wieścią do Ignacego Paderewskiego, że Zjazd darzy go godnością członka honorowego onej Instytucji. Należy mu hołd — obudził entuzjazm słuszenie i szlachetnie.

Tylko dwa dni trwała ta wycieczka, a ileż wrażeń, ile podniosłych momentów, ile wszędzie ludzkiej dobrej woli, ile miłości dla sprawy.

Z wiarą też powtarzamy słowa odezwy podanej w 6-m numerze „Morza“, która twierdzi, że:

Każda próba zamachu na Pomorze, na prawa Polski w Gdańsku spotka zdecydowany odpór całego narodu!
L. K.

SAMODZIAŁY Z NOWOGRÓDKA

Ktokolwiek był w tym roku na jakichś wywczasach na wsi, mógł łatwo zauważyć, że w modę weszły nareszcie suknie, płaszcze, ubrania męskie i sukienki dziecięce wykonane ze samodziału podług najświeższych wzorów. Wśród wielu innych widzieliśmy suknie haftowane, lub przybrane mereżkami z płótna tkanego w okolicy Nowogródka, a odznaczającego się nadzwyczaj równą tkaniną.

Płótna zwane litewskimi są bardzo trwałe, miękkie w noszeniu i nadzwyczaj równo tkane. Można wyszywać na nich wszelkiego rodzaju wzory ścięciem płaskim, atłaskiem, przeróżne mereżki ludowe lub wzory krzyżykowe.

W ziemi Nowogródzkiej spotykamy bardzo delikatne wzory krzyżykowe czarne z czerwonym, po większej części geometryczne.

Wzór takiej sukni tkanej i wyszywanej w chacie wiejskiej w okolicy Nowogródka widzimy na fotografii, która przedstawia wnętrze Bazaru Nowogródzkiego w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej 91. Jest to filja Bazaru Przemysłu Ludowego w Nowogródku.

Znajdziemy tam doskonałe samodziały lniane po bardzo przystępnej cenie, tkaniny kolorowe, krajki, lub hafty na metry, a wszystko wykonane rękoma naszych wieśniaczek.

Nabywanie artykułów tkanych na wsi, a sprzedawanych w bazarach ułatwia ludowi naszemu zbyt swych wyrobów, wzmoże produkcję lnu i samodziałów, a wieś tak bardzo potrzebuje poparcia materialnego i pomocy moralnej z miasta.

Kto jedno lato przeżyje w naszej polskiej wsi, przekona się jak uciążliwe i mozolne jest życie wieśnia-

ka, jak trudno obecnie zarobić coś wobec konkurencji autobusowej, rugującej z użycia furki góralskie.

Z małych miasteczek promieniuje fabryczna licha tandeta, zabijająca przemysł i strój wiejski.



Tkaniny i hafty z Ziemi Nowogródzkiej.

Ziemia Nowogródzka, będąca stale w opresji kresowej, tem bardziej zasługuje na poparcie.

Ludzie dobrej woli pozakładali tam ośrodki przemysłu ludowego, śpieszmy więc do Bazarów Przemys-

słu Ludowego po piękne białe samodziały na suknie, po ręczne hafty i koronki, po szare płótna na ręczniki i ścierki.

Ślicznie wyszywane robótki oparte na wzorach

z Ziemi Nowogródzkiej mogą ozdobić najwykwintniejszy dom w mieście, przynosząc tem samem korzyść wieśniakom i umożliwiając im byt codzienny.

Marja Stefkowa.

ECHA MINIONYCH DNI

Pod pięknem imieniem: „Wycieczki Przyjaźni” a przewodnictwem O. Dassonvilla i p. Zamańskiego, przybyła z Francji młodzież katolicka ze sztandarami, zwiedzając Kraków, Wieliczkę, Zakopane, Piekary na Śląsku, Katowice, przyjmowana wszędzie równie serdecznie, jak w Warszawie, gdzie przebyła parę dni, wyjeżdżając potem do Torunia. 15-ty sierpnia spędziła podróżni w Częstochowie. W Zakopanem hr. Marja Zamoyska przyjmowała wycieczkę w gronie 200 osób podwieczorkiem w Kuźnicach. Wycieczkę prowadziła u nas p. Wanda Ładzina, niestrudzona działaczka, pełna zawsze energii i z pogodą a dobrą wolą sprawująca swą służbę społeczną.

Związek Obrony Kresów Zachodnich, jedno z najbardziej zasłużonych, w zakresie swej działalności, stowarzyszeń, sprowadzając stale na miesiące wakacyjne dzieci i młodzież polską z Niemiec, zorganizował kolonje

także dla dzieci polskich z Francji. 60 dziewczynek umieszczono na kolonji w Mielzynie pod Gnieznem, 30 chłopców w Gniewkowie pod Inowrocławiem, oraz 37 chłopców w Strzelnie pod Poznaniem. Dzieci będą w kraju 7 tygodni.

Wycieczka francuska studentów szkoły rolniczej w Grignon, także zawiązała do naszego rolnego kraju, mając na celu zwiedzenie ważniejszych ośrodków rolniczych, instytucji rolniczych i zapoznanie się z organizacją związków i stowarzyszeń rolniczych w naszym kraju.

„Pułaski”, piękny nasz pasażerski transatlantycki okręt, wraca z Nowego Jorku i Halifaxu do Gdyni, przywożąc do naszego portu 290 pasażerów, 40 worków poczty i 245 ton towarów. Wszyscy Polacy zamieszkujący Amerykę, jeżdżą tylko polskimi okrętami — do Europy. Piękna — solidarność narodowa.

DONIOSŁA DZIAŁALNOŚĆ ZWIĄZKU PAŃ DOMU

Oddział Warszawski Z. P. D. przeprowadził III-ci kurs dokształcający dla pracownic domowych, zatrudnionych u członkiń Związku. Kurs objął 14 wykładów gotowania, jeden prania i jeden sprzątania. Słuchaczek było 15.

Kierownictwo Kursu spoczywało w rękach zasłużonej działaczki na polu podniesienia poziomu zawodowego służby domowej p. Michaliny Ulanickiej. Instruktorką była p. Julja Czechowska.

Kurs dał duże wyniki, potwierdzając dotychczas ugruntowane przekonanie, że mamy do czynienia z elementem podatnym i chętnym.

Pokazy gotowania na gazie, organizowane były przez Wydział Kursów Zw. Pań Domu, odbywały się w lokalu Gazowni Miejskiej, ul. Kredytowa 1, trzy razy w tygodniu: we wtorki, środy i czwartki. We wtorki i czwartki pokazy ranne prowadzi mag. p. Marja Morzkowska, obrazując je wykładami

z dziedziny zagadnień djetetyki. We czwartki po południu p. Bohosiewiczówna organizowała szybkie gotowanie dla pań i panów, które cieszyły się wielkim zainteresowaniem.

Niewątpliwie czynne i dbałe o zasadnicze reformy naszych domostw „Panie Domu” zechcą i w tym sezonie powtórzyć wykłady, a słuchaczek napewno nie zbraknie. Gospodarstwa nasze gwałtownej ulegają zmianie. Służąca stała się jednym z najkosztowniejszych wydatków. Mieszkanie się ograniczają, pokoje odnajmują — kuchnie likwidują. Wysokie opłaty za służbę domową w kasie chorych, obciążone jeszcze dodatkami na „fundusz pracy” zmuszają do obchodzenia się bez służących, więc wykłady przejść będzie musiała każda kobieta mająca rodzinę. Gospodarstwa nasze ulegną zmianie, na której jednak nie może ucierpieć nie życie rodzinne. A nie ucierpi tylko wtedy, jeśli do zmian technicznych staną dobrze przygotowane — Panie Domu.

NIEZBEDNE INFORMACJE

Siostry Urszulanki mają już w Polsce 18 domów Zgromadzenia. W Wielkopolsce 3, w Małopolsce 1, w województwach środkowych 11, na Kresach Wschodnich 3, oprócz tego 4 domy we Włoszech i 1 we Francji. Na czele stoi Matka Ledóchowska, najświetniejsza organizatorka wśród kobiet polskich. Z niczego — wznosi schronienia, wskrzesza zaniedbane kościoły, tworzy szwalnie, otacza opieką materialną, moralną i umysłową setki

i setki dzieci, wydaje piśmisko które ma 25 000 małych prenumeratorek, prowadzi pracę zarobkową w domach, które muszą same na siebie zarobić. Nowicjatk dla Polski jest w Pniewach. W ciągu 12-tu lat pracy na ziemiach polskich było 660 powołań zakonnych do Zgromadzenia SS. Urszulanek. Praca jednak wzmaga się i rośnie ciągle i nigdy ręk do niej nie za wiele. — Błogosławionym usiłowaniam Bóg dopomaga i otacza je swą opieką.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Wandzie Milk. z Piekar. Kościół Świętej Teresy ma stanąć na Powiślu. Projekty są już zatwierdzone przez wszystkie komisje. Materiały prawie w całości nabyte, pale żelazo-betonowe na placu budowy białe, chodzi o fundusz na robociznę. Wątpić nie należy, że i na to znajdzie się ofiarność ludzka, nigdy nie wyczerpana o ile chodzi o dobre cele. Tyle modłów, ludzie zanoszą do młodziutkiej Świętej, że byle groszem niech każdy ją poprze, a świątynia pod Jej wezwaniem niebawem wzniesie się na Powiślu.

P. W. R. z Mławy... Siedziba „Koła Pań”, „Ligi Obrony P. P.” mieści się przy ul. Mokotowskiej 14. m. 16. Biuro da

pani wszelkie informacje dotyczące wykładów dla przeszkolenia pań w obronie przeciwegazowej.

P. Marji Zabok... w Mieniach. Doskonały pensjonat na Pomorzu, właśnie w Orłowie Morskim, założyła p. Irena Kolanowska. Pensjonat „Lena” jest w prześlicznym położeniu, ma wszelkie wymagane ulepszenia, doskonałą kuchnię, stację kolejową na miejscu, autobusy do Gdyni. Adres: Orłowo-Morskie, pensjonat „Lena”.

Jesień polska słynie z pogody, więc może jeszcze pani skorzystać z pięknych dni wrześniowych. A nad morze choćby na parę dni zawsze warto jechać.

5-DNIOWY WYPOCZYNEK NA WIŚLE

Chciałbym poruszyć aktualną sprawę turystyki wodnej. Nasze społeczeństwo za mało jest obeznane ze sposobami i możliwościami taniego przejazdu wodą (statkiem).

Przed kilkoma dniami powróciłem z takiej wypoczynkowej wędrówki, która trwała 5 dni.

Pewnego dnia wsiadłem na jeden ze statków T-wa Vistula „Francja”. Przydzielono mi sypialne miejsce w 4-osobowej kabine, dość wygodnej do przespania się, pościel zupełnie porządna, składająca się z 2 prześcieradeł, poduszki i pledu; po rozlokowaniu się i zapoznaniu się z resztą współtowarzyszy, dowiedziałem się, że jadą do Gdyni, czyli mam kompanów aż do końca mej podróży. Wobec ładnego wieczoru wyszliśmy na górny pokład, gdzie przypatrywaliśmy się sprężystości załogi, która, dodać muszę, prezentowała się bardzo dobrze, czysto i przepisowo ubrana i ujmująca grzeczna, widocznie zasługa kapitana, no i Dyrekcji.

Punktualnie o godz. 23.30 usłyszeliśmy 3-krotny sygnał syreny i na gwizdek kapitana statek wolno odbił od przystani, prując fale. Jak dowiedziałem się, wszystkie sypialne miejsca wysprzedane, a moc pasażerów, posiadających tylko przejazdowe bilety, zaczęła się rozlokowywać na noc w 2 salonach restauracyjnych, gdzie panuje wzorowa czystość. Bufet i obsługa — bez zarzutu.

Po pożegnaniu Warszawy, która wspaniale wyglądała w nocy, zwłaszcza zaś Stare-Miasto, zeszliliśmy do restauracji, gdzie przygodny amator urozmaicał nam czas poważną grą na pianinie. Po kolacji, rozeszliśmy się na spoczynek.

Nazajutrz zostałem obudzony przez towarzyszy podróży — podjeżdżaliśmy do Płocka. Z mostku kapitańskiego oglądaliśmy przepiękny widok rozrzuconego na wzgórzu miasta. Wobec opóźnienia przybycia statku,

postój został skrócony i nie mogliśmy zwiedzić miasta. Śniadanie spożyłem z apetytem, jaki tylko można mieć na wodzie.

Dzień był słoneczny, cichy. W czasie spaceru na górnym pokładzie, zwrócił się do mnie pom. kapitań. słałeczny, starszy pan, z propozycją wykorzystania leżaka za opłatą 1 zł. Z chęcią skorzystałem z miłej propozycji i w ciągu kilku godzin do Włocławka poddawałem się dobroczynnemu działaniu promieni słońca. Do Włocławka przyjechaliśmy na czas i większość wycieczkowiczów poszła zwiedzać miasto. Po odbiciu z przystani włocławskiej spożyliśmy obfity i smaczny obiad, poczem towarzystwo wyległo na pokład, aby dalej podziwiać przepiękne brzegi Wisły. Pod Bobrownikami kapitan statku opowiedział nam o ś. p. por. Peszkańskim, który to zginął w czasie inwazji bolszewickiej, broniąc przeprawy nieprzyjaciela przez Wisłę. Na brzegu widać mogiłę pokrytą wieńcami, składanymi tu rok rocznie przez Główny Zarząd Ligi Morskiej i Kolonjalnej oraz T-wa „Vistula” w rocznicę bohaterkiej śmierci porucznika. Tymczasem podjechaliśmy do Ciechocinka — jednego z największych naszych uzdrowisk. Tu sporo osób wysiadło. Samo uzdrowisko leży o 2 kilometry od przystani. Polskie Zakłady Inżynierji, uruchomiły komunikację autobusową (60 gr. przejazd), co wpłynęło na rozwój jak uzdrowiska, tak i ruchu wodnego. Po Ciechocinku, w godzinę, stanęliśmy w stolicy pomorskiej, Toruniu. Po zabraniu zapasu paliwa, zwiedzeniu miasta, wyruszyliśmy w dalszą drogę. Przed 2 lata odbyłem taką samą podróż. Wówczas w Toruniu wsiadła na statek tylko jedna osoba, obecnie — przeszło 60 osób. Jest to rezultat umiejętnej reklamy Tow. „Vistuli”, które umiało przekonać szerokie rzesze turystów, wykazując uroki i wygodę tego sposobu podróżowania. Po odjeździe z To-

runia, zorganizowano partję brydża. Dla amatorów były tańce. Po spożyciu kolacji udaliśmy się na zasłużony spoczynek po mile spędzonym dniu, ażeby obudzić się przy granicy terytorjum w. m. Gdańska, w Tczewie. Prawie wszyscy pasażerowie jechali na wyuczasy nad Polskie Morze, do Gdyni, Jastarni, Helu, Orłowa i t. d.

Mając urlop tylko 5-dniowy, niestety, musiałem wracać, wobec tego jednak, że statek „Francja” w Tczewie ma 24-godzinny postój, nie mogłem oprzeć się pokusie, by choć parę godzin nie spędzić nad morzem. O godz. 9 wyjechałem pośpiesznym pociągami do Gdyni, gdzie stanęłem o godz. 10.30, wykorzystałem 2-godzinną plażę, o godz. 12.30 morskim statkiem wyjechałem na Hel, skąd po spożyciu obiadu w Polskiej Riwjerze, tymże statkiem wróciłem do Gdyni. Po spędzeniu kilku godzin na molo, rozkoszując się morzem, z żalem odjechałem tego samego wieczoru do Tczewa. Skorzystałem z bezpłatnego noclegu na statku, jako pasażer „Vistuli”, jadący w górę rzeki, i przespałem twardym, zdrowym snem prawie 12 godzin do odejścia statku następnego dnia rano o godz. 10.30. Towarzyszy podróży było mniej, niż w drodze z Warszawy. Sezon morski w pełni — odpływ od morza zacznie się później.

O czym mówili moi towarzysze — ogorzali, zdrowi na duchu i ciele? — O morzu, o morzu, o morzu...

„Kate”.

HUMOR

WIE, CO ROBI.

— Jaki pan niekonsekwentny, najpierw obrzucił pan aktora zgnilemi jajkami a teraz pan go oklaskuje?

— Chcę, żeby się jeszcze raz pokazał, mam jeszcze trzy jajka.

ZROZUMIAŁ.

— Słyseliście, Wojtku, jak ludziska straszą, że będzie wojna?

— Ano, toli jakim był w Krakowie z deskami na jarmaku, to ta bajali, że

się bedom bili. Inom nie zmiarkował kto z kim?

— Jakto nie wicie, Wojtku? Toli tamten z nim a nas im pójdzie na pomoc!

— Acha! To juz wiem!

W DWU WYPADKACH.

— Ależ, drogi panie — pan pije za dużo wódki.

— Nic podobnego, panie doktorze, przysiąć mogę, że piję tylko przy dwóch okolicznościach.

— Kiedyż to więc?

— Raz, gdy jem ser.

— A drugi raz?

— Gdy nie jem sera.

CUDOTWÓRCA — LEKARZ I DNO OKA.

— Ja stawiam moją diagnozę z oczu pacjenta. Pańskie lewe oko powiada mi, że pan cierpi na podrażnienie ślepej kieszki.

— Panie doktorze, to niemożliwe. Po pierwsze ślepej kieszki już nie mam, bo mi ją przed trzema laty wycięto, a po drugie to moje lewe oko jest szklane.

KĄCIK DLA DZIECI

ELŻUNIA.

Elżunia ma siedem latek, jasne duże oczy i rumiany buziak, z którego nie schodzi uśmiech. Jest to wesoła trzpiotka, która się śmieje nawet wtedy, kiedy się przewróci i stłucze, co, jak wiadomo, bywa u niejednego mazgaja powodem licznych łez.

Elżunia patrzy pogodnie na świat, uważa, że jest on piękny, że słońce jest poczciwe, że kwiaty są śliczne, ptaki zachwycające.

Na myśl o tych wszystkich radościach, którym na imię: słońce, kwiaty, ptaki (włączając w to oczywiście kury) budzi się w Elżuni poetka. Zaczyna więc składać wierszyki.

Raz pewnego ranka
Słońce zabłysnęło.
Wiatrak się pokręcił
Drzewo zakwitnęło.

Kiedy mamusia pyta ją, dlaczego „wiatrak się pokręcił“, skoro nic nie mówi o wietrze, odpowiada z niezmaconym spokojem, że w jej wierszu zabrakło chwilowo miejsca na wiatr, zresztą każdy powinien się być domyśleć, że bez wiatru wiatrak nie będzie się kręcił.

Elżunia nie ma zresztą czasu zastanawiać się długo nad tą sprawą, teraz wybiera się właśnie do ogródka. Oczywiście musi się nieco ubrać, zwłaszcza kapelusz jest niezbędny, bo to chroni od słońca i robi do twarzy.

Układa przytem takie rymy:

Czerwony kapelusz, śliczna kokardeczka
Jakże jest przyjemnie iść do ogródeczka.

Żeby nikt ją nie posądził, że tu głównie idzie o kapelusz, w dalszym ciągu oświadcza:

Miły ogródek, miłe mi kwiatki
Wiosna się zbliża do mojej chatki.

Oczywiście ta „chatka“ nie jest wcale chatką, lecz sporym, nawet miejscami murowanym domem; czego to nie robi się dla rymu.

Elżunia znalazła się wreszcie w ogrodzie. Początkowo chodzi poważna, udaje „dame“. Po chwili jednak zwycięża w niej beztroska wesołość, zaczyna biegać i skakać, goni motyle, zagląda w krzaki, szukając gniazd, rozkopuje kretowiska, coś tam śpiewa. Wreszcie wyrazem jej zadowolenia staje się następujący utwór:

Zielony ogródek
Wonne kwiatki rosną...
Cieszę się i skaczę,
Jakże pięknie wiosną!

Tak mija, jak z bicza strzelił cały Boży dzionek. Dzieją się różne rzeczy ważne i mniej ważne: trzeba zjeść obiad. Cóż to za rozkosz dzieżka zsiadłego mleka z młodem kartofelkami, okraszonymi słoninką. Elżunia szuka przedewszystkiem skwarków, które chrupią w ząbkach.

Zbliża się wieczór. Trzeba rozstać się ze słońkiem, z ogródkiem, z kwiatkami. Cały świat układa się do snu. Elżunia czuje się też zmęczoną. Wraca do domu. Zjada kolację. A potem zabiera się do mycia, zwłaszcza trzeba dobrze opłukać nogi po całodziennej bieganiu.

Zanurzywszy je w ciepłą wodę, Elżunia po raz ostatni tego dnia próbuje swego poetycznego natchnienia. Jest senna, więc też nie może sobie poradzić z „poezją“. Wychodzi stąd dziwołag:

Woda w głowie,
Rymy w nodze,
Źle poetką
Być niebodze.

A potem jeszcze pacierz i już spać, spać, spać...

STACH I JOLA

*Pisze Jola wielkiem piórem,
Piórem pisze, atramentem,
I każdą literkę swoją
Wejrzeniem bada przejętem.*

*I tak prawi: widzisz Stachu,
Pisać piórem to jest sztuka!
Nic poprawić tu się nie da.
To prawdziwa jest nauka.*

*A Stach, co jeszcze z ołówkiem
Nie jest w idealnej zgodzie,
Marzy: kiedy on mieć będzie
Tak jak Jola — kleks na brodzie!*

H. R. Ch.

KUMA KUM

*Kuma kum, kuma kum,
Wody plusk, trzciny szum
Księżyc śle promienie blade,
A my temu rade, rade,
Rade kum, rade kum.*

*Kuma kum, a wiesz co,
Był tu dziś. A wiesz kto.
Rybak był! Źle to źle,
Pewno stuw spuścić chce,
Kuma kum, kuma kum.*

*Kuma kum, nie trap się,
Wody dość znajdzie się.
Zbierzmy lepiej się w gromadę
I śpiewajmy rade, rade.
Rade kum, rade kum.*

H. R. Ch.

KSIĄŻKA

*Książka uczy, książka cieszy,
Książka bawi, książka śmieszy,
Nie nudzisz się ni chwileczki,
Gdy ciekawe masz książeczki.
Książeczka cię uczy, książka rozwesela.
Lepszego ponad nią nie masz przyjaciele!*

*Książka oczy ci otworzy,
Na cały piękny świat Boży —
Małe w książeczce literki
Pokazują nam świat wielki.
Książeczka cię uczy, książka rozwesela.
Lepszego ponad nią nie masz przyjaciele!*

H. R. Ch.



ROZRYWKI I UMYŚLOWE



POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

TRZECI KONKURS KWARTALNY (zakończenie)

Termin nadsyłania rozwiązań trzytygodniowy, licząc od daty otrzymania numeru.

O ile kto z Czytelników z jakichkolwiek przeszkód nie mógł nadesłać rozwiązań z nrów lipcowego i sierpniowego, może je nadesłać razem za cały kwartał, w terminie wyż. oznaczonym.

10. SZARADA (5 pkt.)

Gdy się w katedrze bywa na Wawelu,
Trzecie-czternaste zanosząc do Boga,
Kiedy się słyszy o tych mgęczach wielu,
Którzy nie znali co bojaźń, co trwoga,
Gdy się w modlitwie dziewięć z piątem

I dwa pięć tuzin-la-piąte nas bierze
Ochota, Boga błagając przezornie,
By człowiek wiecznie umacniał się w wie-

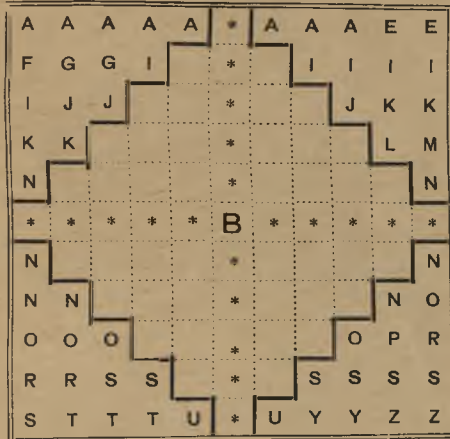
Wtedy otucha do serca wstępuje,
Cztery nasz szósty nigdy nie trzy-cztery
Dziewięć-dziesiąte. I każdy to czuje,
Kto w swych uczynkach jest równy

Kiedy kto piątej-raz-ósmej wysłucha,
Lecz jedenaście-dwanaście w skupieniu,
Aby nie puste dźwięki szły do ucha,
Zaraz się korzy w pierwszym-siódmem-

Przed Bogiem, który zawsze rządził nami,
I choć trzynaście cierniaki nas prowadził,
Sprawił, że dzisiaj rządzimy się sami,
Bo przecież całe! — więc nikt nas nie

„Vir Polonus“ (czł. Kl. Sz.)

11. LOGOGRYF (3 pkt.)



Litery umieszczone w otoku kwadratu, należy tak rozmieścić w próżnych kratkach wewnętrznej figury, aby powstało 11 wyrazów, czytanych poziomo, wedle podanych niżej określeń. Litery w środkowych rzędach (oznaczonych gwiazdkami), dadzą rozwiązanie równobrzmiące pionowo i poziomo. W środku figury wstawiona litera jest na właściwym miejscu.

Znaczenie wyrazów: 1. Litera. — 2 i 3. imiona filozofa teologii, wyb. kaznodzieji († 1473). — 4. Owoc. — 5. Współczesny dyktator. — 6. Rozwiązanie. — 7. Okręgi wojskowe (załogi). — 8. Instrument-samo-grajek. — 9. Poeta włoski. — 10. Ang. miara gruntu. — 11. Spójnik.

J. W. Flisiński czł. h. Kl. Sz.

12. PRZESTAWIANKI LITEROWE (po 1 pkcie — razem 4)

- I. a = Łódź — po morzu zwinnie pływa,
- b = A tu „Osman“ się ukrywa.
- II. a = Zwierzę — w głębi morza żyje,
- b = Tu się męskie imię kryje.
- III. a = Maż francuski — z pióra slynie,
- b = Ta granica naszą płynie.
- IV. a = Masz w ogrodzie, w polu, w lesie,
- b = Konającym ulgę niesie.

M. Waksmundzka czł. Kl. Sz.

13. ZADANIE MATEMATYCZNE (4 pkt.)

$$(A - B) + (C - D) + (E - F) + (G - H) + (I - K) = X.$$

W powyższym równaniu zamiast liter: A, B, C, D, E, F, G, H, I, K, — należy podstawić odpowiadające im, według niżej podanych określeń, wyrazy i wykonać na nich wskazane przez znaki „minus“ i „plus“ działania. Otrzymane w ten sposób znaczenie dla „iksa“ da nam rozwiązanie.

ZNACZENIA WYRAZÓW:

- A — Zwój pergaminowy, zawierający pięcioksiąg Mojżesza, napisany po hebrajsku.
- B — Ofiarował (podarował).
- C — Zdumiewać (wprawiać w podziw).
- D — Kółko w kształcie powroza, skręcone z giętkiej gałki.
- E — Atak (paroksyzm).
- F — Rzeka we Włoszech.
- G — Emalia (glazura).
- H — Imię żeńskie.
- I — Szpat polny, pospolity minerał, składający się z glinki, krzemionki i potasu (wapna lub sody).
- K — Przyrząd z gałkami do rachowania (liczydło, — także próżniak).

Jawna Kowalska.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ II KONKURSU KWART. 1933.

umieszczonych w numerach kwietniowym, majowym i czerwcowym 1933 „Rodz. Polskiej“, na który złożyły się następujące zadania (z wyszczególnieniem ilości punktów za rozwiązania):

- 1. Szarada (Z. Ptaszyńska) 3
- 2. Logogryf (N. K. Kozłowski) 3
- 3. Szarada (K. Szumanowa) 5
- 4. Ciągówka (M. Teister) 2
- 5. Logogryf (K. Jurkiewicz) 3
- 6. Logogryf („Maciej z Pomorza“) 5
- 7. Krzyżówka (A. Sawicki) 4
- 8. Schody mag. (E. Miłowski) 4
- 9. Szarada (L. Ciesielski) 4
- 10. Logogryf (E. Wieliczko) 4
- 11. Zag. wzrok. (W. Gasperski) 2
- 12. Wprost — wspan. (K. Denasiewicz) 7
- 13. Rebus (J. Tyblewski) 6

Ogólna ilość punktów możliwych do zdobycia wynosiła zatem: 52.

1. SZARADA:

Radosny nam dziś dzień nastał.

2. LOGOGRYF NA PARKANIE:

Prima Aprilis. (Wyrazy: paplanina, kark, Atlas, dzik, psina, domorosły).

3. SZARADA:

Wiosna osłoda życia biedoty.

4. CIĄGÓWKA:

Prima Aprilis. (Wyrazy: pilar, rąbki, islam, Marta, akcja, pompa wsp., puder, radni, indol, laski, impas.)

5. LOGOGRYF:

Prima Aprilis (czytane z liter początkowych wprost i z końcowych wspan.). (Wyrazy: Parys, radni, indol, maiki, aster, proca wsp., Padwa, rafla, islam, lotki, imbir, sierp.)

6. LOGOGRYF:

Polskie morze. (Wyrazy: napój, uroku, polny, nasze, oku, najmilsze, wiele, niemiec, spokojne, naród, Kaszuba, podejść.)

7. KRZYŻÓWKA:

Poziomo: grog, dryl, re, Apo, Aa, yard, kloc, Gehenna, gaza, oaza, ar, lud, as, rant, Anna.

Pionowo: Gryf, agar, rea, ara, rzecz, gad, alt, Fez, dok, oda, linja, Yao, Zan, Lach, kasa.

8. SCHODY MAGICZNE:

Gram, Ryga, agat, materac, rysa, asan, Canossa, skud, suma, Adam.

9. SZARADA:

Kapitałisci.

10. LOGOGRYF:

I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu. (Wyrazy: fidybus, uważa, apokryf, gawra, arsenał, pyrsz, ażurowy, bufon, analiza, ginąć, aerolit, trąba, Eol.)

11. ZAGADKA WZROKOWA: Wiosna.

12. WPROST... WSPAK:

- 1. Kapa, paka. — 2. Kapłon, płonka, —
- 3. Kaszel, szelka. — 4. Lafa, fala. — 5. Gala, laga. — 6. Leża, żale. — 7. Łyko, koły.

13. REBUS:

Nasza polityka — to taniec na wulkanie.

LISTA UCZESTNIKÓW

z podaniem przy nazwisku ilości zdobytych punktów: „Argus“ Warszawa 52, Bakoński W. Sulejów 52, Ciecchanowska K. Lublin 30, Czepiel K. Warszawa 20, Czyżewski R. Warszawa 12, Denasiewicz K. Drohobycz 52, Derzko H. Warszawa 19, Dobrzyń J. Łąka 12, Herbstmanówna D. Warszawa 52, Hubertówna I. Lwów 14, Ikaniewicz B. Grajewo 29, Iwanek W. Siedlce 17, „Izyda“ Warszawa 50, Jastrzębska Z. Warszawa 52, Jodłówna J. Wilno 12, „Jur i Hala“ Kresy 51, Klimczak R. Warszawa 52, Klimczakowa J. Warszawa 52, Kowalewski W. Bydgoszcz (z ry-sunkami) 47, Kowalska Jawna Warszawa 52, Kozłowska Hanka Warszawa 52, Kozłowski Cz. Warszawa 48, Kozłowski N. K. Warszawa 52, Kulicka M. Wilno 48, Kuźmianka N. Warszawa 21, Lemieszewska J. Warszawa 26, „Lili“ Warszawa 44, Lilpop K. Warszawa 29, Lopatto J. Warszawa 52, Łukawski J. Warszawa 19, „Maryśka z Pohulanki“ 52, Matysówna H. Warszawa 10, Mieczkowski A. Wilno 41, Miłowski E. Poznań 52, inż. Modrzejewski J. Lublin 52, Mokrzycka H. Drohobycz 52, N. B. Warszawa 22, Niemczyk B. Poznań 16, „Nord-hamp“ 15, Nubert A. Warszawa 20, Drowa Opiełńska H. Środa 52, Ochs N. Tarnopol 6, Paluch Wł. Wadowice 49, Pankiewicz W. Nowe Miasto 18, Polonczowa Z. Warszawa 30, Reiss J. Złoczów 29, Roguski W. Warszawa 52, Rutkowski I. Mińsk Mazow. 50, Rzeszot L. Warszawa 14, Si-nowicz M. Łuniniec 28, Sławnicki T. Kró-lewsczyzna 52, Strubłówna M. Warszawa 52, Surma J. Białystok 52, Szczepańska I. Wąbrzeźno 46, Turek G. Warszawa 22, Ubiegło G. Warszawa 10, Warszawa J. Lwów 25, Wysocka M. Warszawa 52, Zalewska M. Warszawa 52.

Zgodnie z warunkami konkursu przypady w drodze losowania nagrody następującym uczestnikom:

kwartalne (książki):

p. Drowa Opiełńska H. Środa,
p. Zalewska M. Warszawa,
p. Bakoński W. Sulejów;

miesięczne (książki):

p. Kowalewski W. Bydgoszcz,
p. Paluch Wł. Wadowice,
p. Kozłowski Cz. Warszawa;

pocieszenia (książka):

p. Derzko H. Warszawa;

autorska (książka):

p. Ptaszyńska Z. Oświęcim.
Nagrody zostaną w dniach najbliższych rozesłane pocztą.

HALLO! HALLO!

Już wyszedł z druku nr 9 (wrześniowy) „ROZRYWKI“ (org. Warsz. Klubu Szar.) z wielu ciekawymi zadaniami. Kwart. prenumerata tylko 2 zł. Konto PKO. Nr 2048. Adres: Klub Szaradzystów, Warszawa, Kopernika 42-13. Żądajcie numerów okazowych!
M. St.



Życie jest krótkie! żyjesz raz —
Straconych chwil nie kupisz złotem,
Więc, pomny na to, ceń swój czas:
Podróżuj — tylko s a m o l o t e m!

LAMPY KATODOWE WYKONANE CAŁKOWICIE Z METALU.

Na rynku polskim pojawiły się nowe lampy radjowe, zwane „Catkin”. Lampy te odznaczają się zupełnie inną konstrukcją niż lampy dotychczas spotykane, nie posiadają bowiem baniek szklanych z umieszczonymi wewnątrz elektrodami, lecz jedna z tych elektrod, a mianowicie anoda, która w zwykłych lampach tworzy rodzaj cylindra metalowego lub pudła bez dna i pokrywy obejmującego wewnętrzną konstrukcję lampy — tu tworzy zewnętrzną jej powłokę. Konstrukcja wewnętrzna lamp „Catkin”, dzięki znacznie zmniejszonym wymiarom i doskonałości elektrycznej, pozwala osiągnąć lepsze rezultaty niż z lampami katodowymi o baniach szklanych. Dalszymi ważnymi zaletami lamp metalowych jest ich niezmierna wytrzymałość mechaniczna: lampę taką można rzucić na ziemię ze znacznej wysokości, nie ulegnie ona uszkodzeniu. Poza to praktyczne znaczenie mają małe wymiary, w porównaniu z lampami o baniach szklanych.

Cena lamp metalowych nie przewyższa w Polsce ceny lamp o baniach szklanych, co ze względu na stosunkowo większą ich trwałość, pozwala sądzić, że lampy metalowe zostaną niebawem powszechnie stosowane.

NOWE SPOSOBY BUDOWY CEWEK.

Na rynku radjowym polskim pojawiają się w sezonie nadchodzącym nowe konstrukcje cewek samoindukcyjnych, jednej z najważniejszych części odbiornika radjowego. Cewki te zwane „Ferrocart” budowane są w ten sposób jak transformatory i dławiki małej częstotliwości, to jest, ze skupiającym linie magnetyczne rdzeniem wykonanym z żelaza specjalnie w tym celu produkowanego, którego skład i wartości elektryczne stanowią przedmiot wynalazku. Dzięki zastosowaniu rdzenia ze specjalnie w tym celu przygotowanego żelaza, cewki posiadają niezmiernie mały odsetek strat elektrycznych, t. j. energia elektryczna wzbudzana lub otrzymywana z anteny zapomocą tych cewek nie podlega prawie żadnym bocznym wpływom. Poza to zastosowanie rdzenia pozwoliło cewkom „Ferrocart” nadać mikroskopijne wprost wymiary co znakomicie upraszcza i ułatwia rozwiązywanie konstrukcyjne układów radjoodbiorniczych. Dzięki zastosowaniu cewek „Ferrocart” można osiągnąć znacznie większą selekcję odbiornika przy tej samej ilości obwodów strojonych — niż to można było dotychczas uzyskać przy pomocy cewek zwykłych. Szczególnie wielkie znaczenie ma zastosowanie cewek „Ferrocart” do odbiorników przenośnych lub do wielkich układów superheterodynowych, gdzie zagadnienie znikomości strat elektrycznych dla uniknięcia szkodliwych sprzężeń jest — czołowym zagadnieniem konstrukcyjnym.

CO UJRZYMY NOWEGO NA RYNKU RADJOWYM W JESIENI? DĄŻENIE DO ZMNIEJSZENIA ROZMIARÓW ODBIORNIKÓW RADJOWYCH.

Mimo kryzysu ekonomicznego, który dotknął również boleśnie przemysł radjowy, konstruktorzy i wynalazcy nie ustają w pracy, dzięki czemu radjotechnika posuwa się naprzód szybkimi

krokami. W jesiennym sezonie handlowym ujrzymy na rynku nowe zdobycze techniki, które w ciągu ostatnich miesięcy opuściły laboratorja. Odbiorniki radjowe najnowszej typu będą przede wszystkim nacechowane niezwykłą prostotą obsługi, graniczącą niemal z działaniem automatycznym, zasilanie lamp odbiorników prądem z sieci oświetleniowej uległo również modyfikacji przez skonstruowanie specjalnych lamp nie wymagających transformacji prądu zmiennego do zasilania żarzenia. W dziale głośników mamy do zanotowania znakomity wynalazek polski — głośnik elektrodynamiczny dwustożkowy inż. Brzeskiego, który ma pojawić się w popularnym, niedrogim typie, o cenie dostępnej dla każdego. Nowe lampy katodowe, nowe metody produkcji budowy cewek oraz przystosowanie odbiorników do reprodukcji filmów dźwiękowych i płyt gramofonowych, stwarzają nowe zupełnie pola dla rozwoju radjofonji. Przemysł i handel radjowy w Polsce podąża wytrwale w pierwszych szeregach postępu radjotechniki, przynosząc coraz nowe wynalazki i konstrukcje, z których wymienić należy poza wspomnianym już głośnikiem pomysłu inż. Brzeskiego, również akumulator systemu inż. Wilimka odznaczający się niebywałą wytrzymałością mechaniczną i chemiczną oraz wielką pojemnością elektryczną w stosunku do wymiarów i wagi. Śledźmy zatem uważnie postępy radjotechniki, które konsekwentnie dążą do uprzystępnienia każdemu, nawet najmniej zamożnemu obywatelowi korzystania z radja.

ŻOŁNIERZE RZECZYPOSPOLITEJ CHILIJSKIEJ BUDUJĄ ROZGŁOŚNIENIE.

Rząd Rzeczypospolitej Chilijskiej uciekł się do oryginalnego i niepraktykowanego gdzieindziej środka wzmoczenia wytwórczości radjotechnicznej: wydany został dekret wzywający armję do oddawania stacyj nadawczo-odbiorczych i do fabrykowania sprzętu radjotechnicznego. Realizacja tego dekretu przyczyniła się do usunięcia z krajowego rynku aparatów radjowych i radjosprzętu, wyrabianych zagranicą. Pracę na kazań przez dekret podjęto pod kierownictwem z zagranicznych inżynierów.

Z czasem podobno ma powstać specjalny Departament Wojskowy do wyrabiania radjosprzętu.

OKO GŁĘBIN.

Przed oczami ludzi nauki odsłonił się ostatnimi czasy jeszcze jeden tajnik natury: stanęła przed nimi otworem księga tajemnic morskiego dna. Na wybrzeżu kalifornijskim wyróbowuje się prosto cud techniki, zwany „Okiem Głębin”. — Czemże jest to Oko Głębin? Jest to zaopatrzona w liczne okienka z grubego szkła stalowa kula, wewnątrz której znajdują się: aparat filmowy, instalacja sternicza, przyrząd do oświetlania dna morskiego i — stacja telewizyjna, zbudowana według systemu Bairda. Kula wisi na stalowej linie i jest połączona dwoma kablami z pokładem statku, na którym znajduje się obserwator. Obrazy czerpane z głębin morskich mają być zupełnie wyraźne, a umieszczona w przyrządzie sterniczym fotocelna automatycznie powraca obiektyw kamery kinowej na właściwy, najbardziej oświetlony punkt. Ludzie, którzy śledzili przebieg

tych ciekawych doświadczeń, twierdzą, że niepodobna oddać słowami wrażenia jakie wywiera na badacza widok przesuających się przed nim, dziwnych, często nieogładanych przez oko ludzkie stworzeń, zamieszkujących tajemnicze głębie. Uczni twierdzą, że aparat kalifornijskiego wynalazcy okaże poważny wpływ na praktykowane dotychczas metody rybołówstwa, ponieważ ukazywanie się ławic sardynek i śledzi na określonych — coraz innych — szlakach morskich, zależy bezsprzecznie od tajemnic wylegu, odbywającego się na wielkich głębokościach, a więc od procesów życiowych, których dotychczas nie zbadano, a które dzięki „Oku Głębin” przestaną być dla rybaków tajemnicą.

PROJEKTY ROZSZERZENIA WYMIANY PROGRAMÓW.

Międzynarodowa Unja Radjowa na Zjeździe, który odbędzie się w październiku r. b. w Amsterdamie, rozważy projekty dalszego rozszerzenia Międzynarodowej Wymiany Programów Radjowych, która jej zdaniem winna objąć również audycje mówione o charakterze ogólnym.

Realizacja tego projektu nastęrcza jednak liczne trudności — a więc wysuwa w pierwszym rzędzie sprawę języka, w jakim audycje te mają być nadawane oraz sprawę tematów, interesujących możliwie największą ilość radjosluchaczy w poszczególnych krajach. Poważną przeszkodą są również tutaj w dalszym ciągu wielkie koszty, związane z transmisjami międzynarodowymi.

Należy jednak mieć nadzieję, że Międzynarodowej Unji Radjofonicznej uda się rozwiązać pomyślnie to zagadnienie, a tem samem wzmocnić pożyteczną działalność radjofonji europejskich w kierunku dalszego zbliżenia narodów.

Podnieść w zakończeniu również należy ogromne znaczenie propagandowe polskich audycji radjowych, transmitowanych przez radjofonje zagraniczne. Obok odczytów w językach obcych, nadawanych przez Polskę co tydzień, oraz sobotnich audycji szopenowskich, słuchanych pilnie przez coraz liczniejsze rzesze radjosluchaczy zagranicznych, dzięki Międzynarodowej Wymianie Programów radjofonja polska staje się jednym z najpoważniejszych czynników najszej propagandy zagranicznej.

PIĘKNY ZBIÓR PŁYT GRAMOFONOWYCH.

B. B. C. posiada obecnie jedną z najbogatszych kolekcji płyt gramofonowych całego świata. Kolekcja ta liczy zgórą 5.000 płyt, którymi dla swych audycji posługuje się londyński broadcasting. Ale dyskoteka B. jest ubogą w porównaniu z amatorskim zbiorem niejakiego Krzysztofa Stone'a, posiadacza 12.000 płyt! Mstr. Stone nie jest zazdrosny o swe skarby i każdego tygodnia powierza falom eteru jedno ze swych arcydzieł.

9.000.000 SŁUCHACZÓW W Z. S. R. R.

Po raz pierwszy pisma rosyjskie informują swych czytelników o rozwoju radja w granicach Z. S. R. R., przyczem donoszą, że ilość aparatów lampowych wynosi obecnie w Rosji — 2,5 miliona i wyprowadzają stąd wniosek, że ilość radjosluchaczy przekroczyła dziś u nich — 9.000.000. Byłby to światowy rekord!